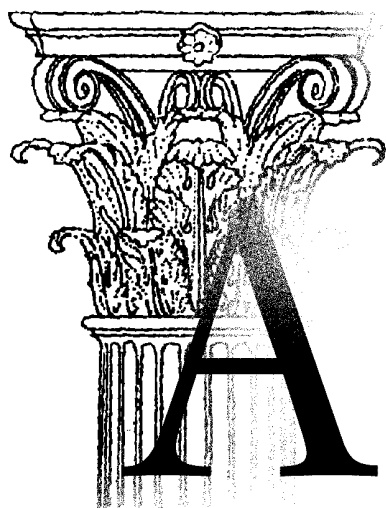
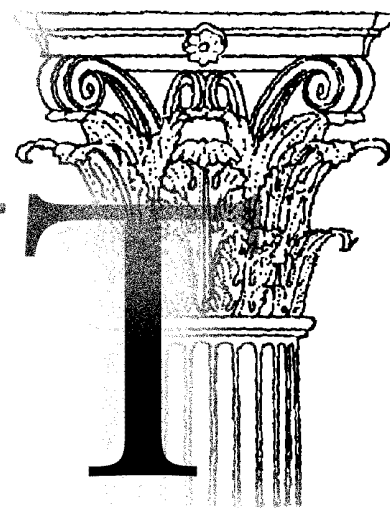




MIESIĘCZNIK LITERACKI



AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 4 (368) Rok XXIX KWIECIEŃ 2026 cena 10 zł (w tym 8% VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Jan Gordon Dziadosze II linoryt palony

Anna Fojtel

Przednówek

Nie bój się, tato. Owoce wokół nas też tracą kolor.
Sam mówiłeś. Potem lecą w dół (nagle a swobodnie).
Albo czyjaś dłoń je pochwyci (tutaj kończy się podpowiedź).
Popatrz, mówiłeś, popatrz, tak żyje sad:
Drzewo podchodzi do okna.
Gałąź wchodzi przez okno.

To właśnie jest kanwą szczęścia: gdy dni i noce toczą się
nieczytelnie, natręctwo wiatru w głowach drzew mąci tajemnice.
A ty już wiesz o wszystkim i po raz pierwszy, w urodziny,
przysyłasz mi rymowaną życzeń.
Kochany, tamtego dziecka już nikt ci nie urodzi.
To my tworzymy cały pejzaż.
My jesteśmy tym pejzażem.

Bogdan Łoś

totem

nocą w nikłym świetle gazowej kuchni
uroniłem kroplę
w której *Solaris* oceanem filozofa Lema

ja z krzesła w organiczny bród
a nade mną jeszcze poprzez świetlik w dachu
gwieździste niebo

i na przestrzał bruzdami czoła
gdy w pochyleniu i z poświęceniem przy samej podłodze
zaraz wytrę spocony bezmiar galaktyk

i serpentynę Mlecznej Drogi
niby zwilżony przebłysk konfetti -

prawo moralne we mnie
przecież chyba nie lotra spod ciemnej gwiazdy

a jeśli nawet w mojej osobie czarny charakter
ono rozmazane tym bardziej starannie

myśląc nabieram mocy
usiłniej wciąż pocę się

Adam Michalak

Rozmowa z żurawiami

Gdy dzieci rozmawiają z żurawiami
rozpogadza się

na balkonowym zacisku otulona atmosfera
przyszłych igrzysk olimpijskich
Sadoku Sasaki dorasta do marzeń
lekkoatletycznej gwiazdy

w tej intencji 644 żurawie origami
startują spod skrzydeł łaki
za truchtem zieleni przeglądają się
w słonecznych odsłonach
strumieni

obłoki brodzą z olchami
w bobrowych żeremiach
płyną w ciszę
napoić echa klangoru



Marta Krzyńska Rozkwit

Joanna Wicherkiewicz

biegniemy między cudami
jedno z prochem pod językiem
drugie z miętówką

czas siwieje
na przeciwnych pagórkach

summa summarum
spotykamy się
w jękach

Cezary Żarna

Aksamit

Było mi zimno, więc Bóg
wziął i umarł, duszna biel zaglądała do okna, echo
zamkniętych drzwi nadal kusiło w przedpokoju

natrętnym szeptem. Obok
stały buty, które nie miały już swoich stóp
(zapomniałaś o nich), moja koszula zwisała smętnie

bez Twojego ciała, a palce
na nowo pisały Boga szukając aksamitu. Drżąc,

wychodząc za linie.

Marek S.Podborski

słowo

a słowo jest wleczone
i bite
szarpane sylabami
kopane w znaczeniach
przeciąga się od zarania
żeby zasiać ziarno
miłości
żeby zasiać ziarno

słowo obleczone spazmem
słowo w bezradności

zmartwychwstania

Kwiatostan

Kwitną krokusy i przebiśniegi. Nagle wyłażą z rozpulchnionej ziemi, jak zielone dżdżownice - woskowe badyle i wnet mechate kielichy i dzwonki drżą w podmuchach zimnego wiatru, trącąc się pyłkiem, obok pierwsza zabłąkana pszczoła – desperat i całą chmurą jakieś wiotkie błonkowce w opentańczych stadach, w rytuałach godów. Przypominam sobie dziecięce podchody do Marzanny; magiczny ogień, woda, ziemia, wiatr – święte błoto, czarne lub rzadziej ceglano-brązowe, w kaskadzie nie-widoków na przyszłość, dzień raczej słoneczny i dłuższy od cienia nad rzeką.

Kwitną żonkile i forsycje, zanim zwiędną spadnie śnieg. Zawsze pamiętam powrót zimy, kiedy kwitną forsycje, mokry śnieg z sadzą, który skroplony zlodzieje na gałązkach nocą. Przełom marca i kwietnia, z dnia na dzień wzrosty i spadki tempera tury o 15 stopni, we wszelkich postaciach. Koktajl klimatyczny, w smugach ciepło - zimno, piekło - niebo, jak w czterech piramidkach z papieru, w środku z horyzontem i wertykałem, czerwonym lub niebieskim, to mroziło dziecięcą krew i grzało hazardem dwóch kolorów. Wykręcam się kolejnej chwili, uciekam w kompozycję i aurę, piję kawę z szaf ranem, powracam do anomalii.

Kwitną dzikie wiśnie i magnolie, dzień się przeciąga i prawie nie umiera, bo nawet noc rozkwita szaleństwem w narastającej kaskadzie hinduskiej ragi, ktoś krzyczy do gwiazd, ktoś udaje małpę, chce zapomnieć całą drogę, biegnie do tyłu, łyka świt od zimnej nocy, w rzucie kości roztrwania zmartwychwstanie, w starą bieliznę niewiary. Twoje jajko zimne i trochę pękło, ale ja bym się nie przejmował drobiazgami.

Marek S.Podborski,
liryaakantu@gmail.com

Dariusz Filinger

Translucida

To stało się zapewne nagle
płótno jest stare zawiera zarodniki i pyłki
roślin z Bliskiego Wschodu

Kto śmiał odwalić ten wielki kamień
w grocie - pytają ze strachem
ci co dzierżą władzę

Krwawy pot zmieszany
z aloesem i wonnościami odcisnął się
jak na fotograficznej kliszy

Rozbłysk – narodzenie galaktyki
od środka na zewnątrz
zwycięstwo w ciszy

Cezary Żarna

Psy

Czujnie. Dziecko ssie
palec, dni są numerowane, *numero uno, numero due, numero tre e successivo*. Nie wypuszczam, łapię
wszystkie, przyczepiam etykiety, składam w kostkę, chowam,
każdy w odpowiedniej szufladzie.

Najmłodsze robią się coraz starsze, stare
nie młodnieją wraz z obgryzionym
paznokciem, wysuwają nosy w oczekiwaniu na następne,
sprawdzają czyja nieobecność przybiła się krzyżem
do tablicy ogłoszeń.

Z miejsca, które zostanie po tobie,
odganiając się jak od stada wściekłych psów
– ręką, kamieniem, kością.

Jerzy Stasiewicz

Przyjm na nocleg i poczęstuj chlebem

Pozwól mi do graba dotrzeć Panie;
Co góruje ponad młodym lasem,
Żebym idąc poprzez górskie granie
Nie zagubił życia mego z czasem.

O pnie ścięte ręką wprawnych drwali;
Nie połamał nóg na wędrownym szlaku.
Ci co śmieją się w twarz nie tykali
Palcem. Na czole nie kreślili znaku?

Hm... Bo zatrzymać będę musiał wiatr,
I zawrócić wartki górski potok.
Idąc do szczytu choćbym w szczelinę wpadł
Chwyć konar. Stopy zassie błoto.

Gdzie kwitnący grab – tam gniazdo ptaka;
Gromadka młodych z dziobami w niebo.
Nie pytaj wędrowca gdzie Itaka –
Przyjm na nocleg i poczęstuj chlebem.

Anna Makselon Paton

Portret w kwiatach

Kwiaty pęczniące
w jej głowie
ekspodujące
jak rozkrojone
mandarynki

Kwiaty
w wazonach oczu
bez wody
choć nisko
skrzydła jaskółki

Kwiaty
suche garstki
w pajęczynach
niedoniesione

Kwiaty wodne
lotosy i logosy
w całym majestacie
zraszające serce

Kwiaty wrastające
w brzuch
parzące
jak ukwiał

Kwiaty
łagodne
umierające
z nią po kryjomu

Kwiaty pnące
się z krzyża
zaplecione w palcach
nieustające modlitwą

Kwiaty
słodkie i mdłe
topniejące z woskiem

...z kwiatami
na wojnę

Marek S.Podborski

semicka furia

entliczek pętli czek
kto wciśnie guziczek
na kogo rakieta
na tego bęc

i 160 dziewczynek
w szkole
rozerwanych w gruzach

Miron Piwnik

aby tylko
nie angażować się
to przeżyć można będzie
nawet
koniec wszystkiego

Notes (27)

17 lutego

Jerzy Grupański podesłał mi 5-elementową widokówkę ze swojego rodzinnego miasteczka, Wroniek. Znam takie wielkopolskie miasteczka. Czyste, ułożone, zawsze dla mnie słoneczne. Każdy z pięciu elementów widokówki w pełnym albo trochę już zachodzącym słońcu, bo nie porannym; każdy fotograf wie, że rano się nie fotografuje, chyba że dla uzyskania jakiegoś specjalnego efektu. A tu specjalnych efektów nie ma, wszystko jest normalne, nawet ten stary facet prowadzący rower pod górę. – Jest we Wronkach jakaś stromizna? – dziwię się. I wyobrażam sobie normalne, popołudniowe życie w mieszkaniu na pierwszym piętrze kamienicy, w której poeta za młodu mieszkał. Frapuje paradny balkon, z barierkami z wygiętych metalowych prętów, drewniane korytka z kwiatami. A nade wszystko dzikie rośliny, trawy, chwasty wyrastające między torami przed uśpioną stacją kolejową. Nie przysadzisty, zaprojektowany dla dostojności i solidności ratusz ze stromym czerwonym dachem niemal o wymiarach głównego korpusu i wczesnobarokowy żółty kościół farny, ale te szpalery dzikich roślin, traw i chwastów przed uśpioną stacją kolejową całą w brunatnych i białych barwach. Nie dziwię się, że w takiej scenarii uformował się poeta, świetny poeta, Jerzy Grupański. A dla mnie dotąd Wronki to było ciężkie stalinowskie więzienie.

Jerzy Grupański pisze:

„Dziadek kupił ten dom w r. 1922 od Żyda – Heimanna Podolskiego. Przy drzwiach wejściowych była mezusa, cytat z Pisma, zwój, który całowano, a na drzwiach do salonu było X Przykazań. Kobiety chodziły w perukach, bardzo bały się burzy. W szabat przychodziła gojka, by zapalić zapalną, ogień w piecach, bo i tego Żydom nie było wolno. Na strychu miałem swój pokój przez prawie 50 lat, wędki, książki, piętro niżej – Mama, niezapomniane chwile... Z okna – dachy miasteczka, lustro Warty i dalej las – Puszcza Notecka”.

18 lutego

– Wczoraj siedziałem w pracy do dwudziestej czwartej...

Cieszy się, że ma zajęcie, nawet trzy prace.

– Bo tak co, siedzieć samemu w murach?

Jest po rozwodzie, rzekomo żona go wyrzuciła. Za co? Jak było naprawdę, tego nikt nie rozezna. Także po pewnym czasie on sam. Coś sobie wmówi i będzie to utrwał.

W każdym razie dobrze, że ma pracę, bo co, siedzieć samemu w murach?

19 lutego

Póki jesteśmy na pokładzie, musimy się zauważać i szanować. Potem nie będziemy już mieć tych kształtów, barw i emocji, a one – choć ulotne – przecież są. Są... Byt, ważniejszy niż miłość.

20 lutego

Jak zauważy Marek Garbacz („Przegląd” 2026, nr 8, s. 20):

„Następuje erozja kapitału społecznego (...). Pod pojęciem kapitału społecznego rozumie się takie cechy społeczeństwa, które czynią z niego wspólnotę, tj. zbiorowość, która ufa sobie wzajemnie i jest gotowa do szerokiej kooperacji. Kapitał społeczny zapewnia silne wzajemne związki i takie relacje między ludźmi w grupie, dzięki którym członkowie zbiorowości są gotowi działać razem i na rzecz kolektywu. Przy bardzo silnym załamaniu się wzajemnego zaufania funkcjonowanie społeczeństwa jako całości staje się praktycznie niemożliwe. Następuje stopniowa fragmentacja zbiorowości na małe, odrębne, niekooperujące ze sobą grupy, a nawet tylko jednostki”.

Jedynym spoiwem całości staje się prawo i procedury biurokratyczne. One zniewalają. Przed chwilą jeden z przechodniów zrugnął kobietę, która przeszła na czerwonym świetle, gdyż ulicą nic nie jechało. Współczesny auto-niewolnik.

21 lutego

W gronie starych i bardzo starych mężczyzn. Dowcipkuje, że nie pozostało im nic innego jak czołganie się z dnia na dzień i kieliszek. Radzę im „zarzucić kotwicę przyszłości”. Nie rozumiem. Tłumaczę, że jakiegokolwiek plany na jutro, pojutrze rozjaśnił ten ponury świat. A oni wznoszą toast *na zdrowie*.

22 lutego

XVII Bliny Prawosławne, czyli biesiada kulturalno-kulinarna, zainicjowana przeze mnie 17 lat temu w celu zbliżenia kultury chrześcijaństwa wschodniego do naszej, zachodniej. Dużo ludzi, więcej zachodnich niż wschodnich, co cieszy. Martwi tylko, że prawie nie ma, z wyjątkiem chóru cerkiewnego, młodzieży.

23 lutego

Zadaniem historyka jest rzetelna rekonstrukcja dziejów. Nie można niczego, co zostawiło faktyczne ślady, przemilczać, a jeżeli już, to trzeba w opracowaniu jasno o tym napisać, że ze względu na... Ja na przykład w sporządzanym obecnie opracowaniu dziejów konspiracji młodzieżowej lat osiemdziesiątych XX wieku piszę, że ze względu na nieopierzoną młodość moich bohaterów i brak doświadczenia życiowego nie będę podawał, kto z nich był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Ale o agenturach zachodnich, które penetrowały w tamtych czasach polską opozycję solidarnościowo-niepodległościową, muszę wspomnieć, choćby na zasadzie hipotez, gdyż owe wywiady nie były tak archaiczne jak PRL-owskie tajne służby i nie pozostawiły po sobie dokumentacji. Liczył się efekt operacji, a nie raport o niej, a jeśli już był konieczny, to był to raport ustny.

Niemniej coś już w piśmiennictwie o tamtych czasach się ruszyło, bowiem Paweł Sowiński w artykule *Książkowy klub CSA* („Gazeta Wyborcza” 2025, nr 160, s. 44-45), wspominał o Jerzym Giedroyciu finansowanym przez CIA. Nazwał go „partnerem”. Jak zwał tak zwał.

24 lutego

Akademia w czwartą rocznicę napaści Rosji na Ukrainę. Prezentacja przybyłych z Ukrainy wolontariuszy wojennych... Wolontariat wojenny to bardzo interesująca forma walki o niepodległość. Cywile w różny sposób wspomagający frontowiczów, głównie w sferze zaopatrzenia. Niemal od samego początku agresji taki wolontariat na Ukrainie funkcjonuje. Można więc powiedzieć, że naród ukraiński, a nie jedynie żołnierze, walczy. Tylko, że tego narodu jest już coraz mniej (noty z 14 stycznia 2025 roku i 15 lutego 2025 roku).

25 lutego

Populizm jest komunikacją bardziej bezpośrednią niż komunikacja za pośrednictwem elit, instytucji, mass-medium, stąd praktyka podczas kampanii wyborczych bezpośrednich kontaktów z wyborcami, co w istocie zaczął Andrzej Duda podczas swojej kampanii prezydenckiej w 2014 roku. Odpowiadał on zazwyczaj pozytywnie na nadające się do spełnienia i nie wiążące się, jak „frankowiczów” z ryzykiem, postulaty wyborców. Uśmiechał się i przytakiwał, co większości wyborców stwarzało pozór przyszłego współrządzenia. A więc jedną z istotnych cech relacji populistycznej jest satysfakcja społeczeństwa z jej kontaktów z aktualną czy przyszłą władzą. Nie do końca więc musi być prawdziwie, ale na pewno musi być miło i optymistycznie.

Świat lubi być oszukiwany, więc go oszukujmy.

26 lutego

Szkoda mi tego „Tygodnika Solidarność”. Jego wielkie „płachty”, choć mniejsze niż ówczesnej „Trybuny Ludu”, często zasłaniały siedzących w tramwaju czy w autobusie, bo ludzie podczas jazdy czytali. A inni z zadróżką patrzyli.

Bo i tematy były doniosłe, ogólnopolskie, a nie – jak teraz – frakcyjne i zaściankowe. Odważne, nie powiem, bo numer 7 z 17 lutego 2026 roku rozpaczliwie broni upadającego mitu amerykańskiego. Piszący pod dyktando publicyści lamentują, że ostatnio nawet prawicowo-konserwatywne czasopisma krytycznie piszą o imperializmie, prymitywizmie i kabotynizmie polityki tego mocarstwa. Ludwik Pęziół udowadnia, że stwierdzenie, iż „cała moralna zgnilizna płynie z Ameryki” nie ma faktycznych podstaw, bo homopolityka, feminizm, neomarksizm, wokeizm, które obecnie „rozkładają świat”, narodziły się w Europie, a Amerykanie tylko je rozpropagowali, jak potężny *Gay Liberation Front*. No tak, ale chory na malarię nie obarczy winą zarazków, tylko komary, które te zarazki rozniosły. A co mają mówić masowo gwałcone kobiety z Normandii, które w 1944 roku wyzwalały „american boys”? Że to winien jest dany od Boga popęd seksualny, a nie rozprężenie i triumfalizm w amerykańskiej armii? Winna jest także niska kultura większości Amerykanów, co wcale nie znaczy, że nie mają oni wysokiej sprawności w obsłudze technologii, podobnie jak Murzyni z afrykańskiego buszu, genialnie surfujący w internecie.

Salah Bomba pisze: „Nie od dziś wiadomo, że obywatele Stanów Zjednoczonych należą do najgorzej wyedukowanych na świecie. Amerykanocentryzm, brak dostępu do powszechnego szkolnictwa wyższego,

dobra edukacja zarezerwowana wyłącznie dla bogaczy... – to tylko parę powodów tego, że na ogromnej części społeczeństwa amerykańskiego największe wrażenie robi agresja. Victor Hugo mawiał, że otwarcie jednej szkoły równa się zamknięciu jednego więzienia. Edukacja może nie tylko uratować życie dziecka, lecz także dać społeczeństwu światłego obywatela, który nie będzie się uciekał do agresji w celu zaspokojenia prymitywnych instynktów” („Przegląd” 2026, nr 9, s. 50).

27 lutego

Za namową kolegi na filmie *Wichrowe Wzgórza*. Dawno nie byłem w kinie, nie mogę przecież wszędzie być. Inny język – obrazu, skojarzeń, podświadomości. Trochę razi nienaturalność wątków i dialogów, ale to przecież kino. Wbijają się w pamięć. Ale ten inny – niż literatury – język wyrazu. Trudno mi zaakceptować jego dosłowność.

28 lutego

Choć ziemia na wpół zmarznięta, to jednak wzruszam jej wierzchnią nagrzaną warstwę, a temperatura sięga 16°C, i sieję sałatę oraz cebulę. Wreszcie coś konkretnego.

1 marca

Zarastają mnie rzeczy. Niedobrze!

2 marca

Bartoszevska grupa literacka „Barcja” obchodziła 50-lecie istnienia. Jakaż tam aktywność w nadawaniu sensu życiu i miejscu, w którym się żyje! Radość miesza się z rozpaczą. Żywe miasto na północno-wschodnich rubieżach Polski. Zawsze kojarzyło mi się z więzieniem, teraz kojarzyć się będzie z almanachem, w którym starano się zmieścić „wszystko”, nawet rysunki dziecięce z konkursu plastycznego.

3 marca

Zagęszczona i rozedrgana rzeczywistość coraz trudniej poddaje się symbolicznemu uporządkowaniu. Kultura rozproszona. Wspólne doświadczenia historyczne mają wymiar światowy i... medialny. Globalizacja! Nic też dziwnego, że pokusa ucieczki do swojej norki jest coraz silniejsza. Dobrze, że mam od czasu do czasu przypływ wiersza. To i norka, i kosmos zarazem.

4 marca

Szczera, aż do całkowitego zrozumienia rozmowa z pewną osobą. Niech będzie, że „pewną”.

5 marca

Wizyta w redakcji Pawła Bogdana Gąsiorowskiego. Przyniósł artykuł o liwoncezie – bitej za carycy Elżbiety monety inflanckiej. Wbrew dzisiejszym mniemaniom imperiaлизм rosyjski tolerował odrębność kulturową podbitych terenów. Przecież mógł Inflantom narzucić rubla.

6 marca

Wpłaciłem w formie darowizny kilka tysięcy złotych na „zbożny”, czyli ludzki, społeczny cel, a bank PEKAO SA wałnął mi kilkadziesiąt złotych prowizji. „Tylko cele wyznaniowe zwolnione są od prowizji” – orzekła kasjerka. Nie dziwię się więc, że tu i ówdzie powstają różne sekty, które nie tylko piorą

mózgi, ale i pieniądze. Co na to aktualny rząd i parlament, głoszące, że stoją na czele państwa niekonfesyjnego? Obłudny jest ten bank PEKAO SA, bo nie dopuścił owej „zbożnej” organizacji do konkursu grantowego. Czyżby rozdzielał ów „listek figowy” rzekomego wsparcia organizacji pozarządowych między swoich?

7 marca

Znowu jakaś ruda myszka ze Straży Miejskiej kłamała mi, że „przyjechała na zgłoszenie”, aby oprawić źle zaparkowany samochód, podczas gdy nadał jej robotę inwalida monitorujący ulicę (nota z 2 lutego 2026 roku), a oprawiła podobną do siebie mysz, która przyjechała z Gdańska taksówką „Bolta”. Tak oto poprzez monetarizm jako główną zasadę regulacji świata gryzą się myszy. Dobrze, że ja zaznałem bardziej ludzkiego świata... Gdy siedziałem w kryminale, to Służba Bezpieczeństwa nie usiłowała mnie przekupić, tylko przekonać.

8 marca

Kobiety mają więcej problemów z ustaleniem sobie ścieżki życia, bowiem profeministyczna rzeczywistość rynkowa nastawiona na kreację aktywnych konsumentów sugeruje im działania wbrew ich naturze. Uśmiecham się, gdy widzę, jak się sprężają.

9 marca

Wiosna znów cieszy i nie ma co myśleć o tych wiosnach, co były i czy będą następne.

10 marca

Rozpierała go energia twórcza, ale nie miał talentu, a przynajmniej lekkości tworzenia. Dudlił więc codziennie jakieś utwory, jak kobieta przygotowująca pierogi. Bo trzeba, na kilka lat przed śmiercią trzeba.

11 marca

Unia Europejska ogłosiła dyrektywę *Women on Boards*, czyli *Kobiety na Pokładzie*. Chodzi tu o zwiększoną albo w ogóle o obecność kobiet w zarządach. Jak to się ma wobec odwiecznej mądrości ludowej, że *baba z wozu koniom łżej*?

12 marca

Jakiś profesor nie-profesor, być może

tylko docent pomarcowy, reklamuje mi swoją córkę, doktorkę, „wybitną matematyczkę”.

– Ma ona czwórka dzieci – chwali się.

Pięknie, czwórka dzieci. Tylko czy w takiej sytuacji może być ona jeszcze Lilavati? Tym bardziej we współczesnej, udziwnionej, jak cały intelektualny świat, matematyce. Profesor nie-profesor, być może tylko docent pomarcowy, chce, abym ja tę współczesną, polską Lilavati zatrudnił. Gdzie? Jak? Od spekulowania naukowego faktycznie może głowa pęknąć.

13 marca

„Nie można wygrać wojny, tak jak nie można wygrać trzęsienia ziemi” – te słowa amerykańskiej kongreswoman Jeannette Rankin towarzyszą moim komentarzom dotyczącym wojny na Ukrainie.

W dyskusji ze znajomymi nie rozwijam więc wątku, kto wygrywa, kto wygra. Wojna jest społeczno-moralnym trzęsieniem ziemi i trzeba robić wszystko, aby jej skutki były jak najmniej szkodliwe. Wprawdzie nie byłem na ukraińsko-rosyjskim froncie, ale blisko niego, a przede wszystkim doświadczałem i doświadczałem w kontakcie z emigrantami, także z Rosji, skutków tej wojny. Główny element tego doświadczenia – bezradność, niemożność znalezienia dobrej perspektywy, depresja.

Nie ma żołnierzy świętych i nieświętych, mogą być tylko żołnierze mniej lub bardziej okrutni, stosujący lub niestosujący wymyślone naprędce reguły prowadzenia walki. Zabijanie po każdej stronie frontu jest niemoralne.

14 marca

Wojciech Hetman – odważny konspirator z lat osiemdziesiątych XX wieku namawia mnie, abym wystąpił o odszkodowanie za odsiadki w tamtych latach.

– Byłem żołnierzem ochotnikiem, a nie najemnym – mówię.

– Ale dasz to na zbożne cele – przekonuje.

– Trudno, aby się zmienił, za późno – bełkoczę.

15 marca

Lubię takie jasne poranki, bo coś otwierają. ♦

Współpraca z Autorami i Czytelnikami „Akantu”

Przekazując materiały do redakcji „Akantu”:

– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.

– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.

– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię, a w notach biograficznych rok i miejsce urodzenia).

– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.

– autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Wszystkich Czytelników, Autorów oraz Przyjaciół „Akantu” zapraszamy do wsparcia finansowego naszego czasopisma.

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać oraz drukować Wasze teksty. Przyjaźń i solidarność ludzi kultury pozwoli przetrwać kulturze w tym skomercjalizowanym świecie.

Nr konta bankowego wydawcy, czyli Towarzystwa Inicjatyw Kulturalnych: 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Marek Bocian

Druga strona rzeki

-Widziałem:
na drugiej zajcie rzeki
ognie nawołują wieczór
na drugą stronę Warty kamień nie doleci
sznytem potłucze taflę
Obejdę wodę na drugą stronę
od korzeni słońca
od źródeł księżycy zajrzę
-Tak widziałem:
-uwalniam królika zająca
-uwalniam pajaka z wieczora
-uwalniam postronek siekierę
-uwalniam karasia
cierpliwych wędkarzy
-uwalniam srebrną rybkę scyzoryka
i pikuty
-uwalniam kapsla wyścigu pokoju
zatrzaśnięte pudełka
-uwalniam was ebonitowe żołnierzyki
na szańcach z klamerek
wracajcie
-łaskawię rzeźnika świniobicie
-łaskotaniem łaskawię pierwszego sekretarza
niewidzialną ręką
-uwalniam ojca matkę
szczerozłotych
-uwalniam Roszaka łakę
chłopaków z Bulwynkla
-Tak widziałem:
siebie uwalniam
wracajmy do
swoich siedzib

Na trójmiejskim wybiegu ciepłą wiosną

Łabędzi dziewięć ciągnie morzem
Ręce rowerów trzymamy na bulwarze
Jojczy mewa w piersi grecki ogień

Te na prawo nogę unoszą
obwążują popołudniowe słońca
bulwarem suną na wschód żagle
z Wykapaną przy nodze kucają
rude frytki skrzypce wiatru

Soprany alty podskakują kastraci
z lewej zębiska tenory zgrzytną
smalone kagańce z Wykapanym
na smyczy niewyraźne słowo nabój
nagle w zamku przeskoczy wskroś

Słońca szkaplerzą deszcz przechera
zwyżony księżyc obszedł się smakiem
na sznurku dyszy trojańska Helena
Eneas z dżwiga nieczytelnym znakiem
w tobołku pastele przeciw bladym świtom

Łabędzi dziewięć ciągnie morzem
Ręce rowerów trzymamy na bulwarze
Jojczy mewa w piersi grecki ogień

Anna Skała czołówka Bonanzy

Boso biegnę.
Kocimi łbami miasta
tak przez deszcz słońce
do miejskiej pralni.
Leżysz charcząca kłodo
ciotko Anno Skalino.
Zacina się kadr na taśmie celuloid.
Na coś teraz poczęstunek
rzepakowy olej z gorącym kartoflem.
Zatapiasz miasto wylewem.
Obłożą cię chłodnym rzeczonym piaskiem.
Biegnę do miejskiej pralni
psim łbem do matki.
Boso nago pod słońcem
skamieniały ratownik.
Zacina się obraz na taśmie
płonie czołówka Bonanzy.
Jakało na gali słowiki
na wyrwyki słowniki.
Dasz posłuch złości?
W tej pralni źródło wyżyma się.
Na korbę jęklive kamienie
maglują świeże prześcieradła.
Ciotka Anna chowa banknoty w angelce
podpala suchym porankiem.
Znów płonie jasno
nasza
Bonanza.

na wiosnę

świat poza sobą świata nie widział
z zimy przebudzony o nodze jednej
oku prawym na ręce lewej się oparł

zamachem nogi /tej co została/
cieplejącym sercem zaryłotał
aż dym z rury buchnął
/zdezelowanego dpfa/ kurzawą siną

omalże styki przepalił
zajączko-niedźwiedzio zaiskrzył
furknęło zgrzytnęło wiosną troszeczkę

i pokicał świat inwalidzi biedny
złustrować inne
z nim
trzy światy

Powinno Wielkopolskie dzieciństwo

Mleko wyssane z palca lipowego miodu
Powinno być żreć nie żyć kto zna chabasy wie powinno
ogłuszać maciorę tępą stroną siekiery obok sznura na pranie
Dzieci puszczają baki siedząc na gnojowniku słodka jucha
ubijają muchy strzałem z gumy słońce daje pociechę ciepła
pies walnięty kijem w nos niewart ciężkiego podatku
tak chętnie ruchał nogę

Powinienem być z Rzymu strigil zeszkrobie sparzone klaki
rzemień zbutwiałego sandałka kłamoty wywalone do Warty
Albo z Wikingów na podkładach kolei

Powinno się dzieci zamykać z książką
w przewiewnym wychodku
gdzie ojciec na czele dzielnych indian
zbuduje dom na jabłoni
Nigdy nie kopnie piłki
w słoneczny
kalendarz

studnie kopiesz

mało nas do pieczenia chleba
bochny krzywe na drzewach porosły
kamienie z nieba pospadały
głód nastał dziad ślepy

wciąż wojenny kwaśny zaczyn
woda ogień o poranku wezbrały
chlebowy piec w świat wyprawiły
drugi dziad co pożogi kończy
ludzi po lasach z tobołkami
na rozdrożach gubi

mało nas mało
w połowie drogi samotnej
jeszcze ciebie tu potrzeba życie
kości razem przypiekamy
studnie nową kopiemy

Wojciech Kowalczyk

Equilibrium

Rozpatrywanie w sztuce problematyki EQUILIBRIUM, w swojej warstwie literalnej, stanowi w zasadzie zbiór zdań ontologiczno – epistemologicznych, bez wskazania na zdania prawdziwe i zdania fałszywe, co jest charakterystyczne dla mówienia o sztuce. Należy zatem jak się wydaje, przyjmować tu tryb przypuszczający, a nie mocną asercję, która wskazywałaby na paradygmat. Chociaż pytaniom stawianym w sztuce, nie można przyporządkować



żadnych pewnych odpowiedzi, to pytania konstruują problematyki, zawarte w teorii sztuki. Wynik problematyk, ma cechę subiektywnie sensowną, nie ma więc cechy intersubiektywnie sensownej czyli takiej, iż każdy normalny, dorosły człowiek, który w wyniku przejścia przez odpowiedni trening i zdobycia odpowiednich sprawności, jest w stanie go zrozumieć i wykonując odpowiednie czynności wykazujące wartość (prawdziwość) lub brak wartości (fałszywość), stał się w danej dziedzinie kompetentny. Brak wyniku jako paradygmatu, nie prowadzi zatem do powszechnego (ogólnego) uznania tego wyniku, nie ma właściwości rozstrzygającej, bo umocowanej subiektywnie sensownie. Czy w tak zdeterminowanej zależności, istnieje narzędzie do badania sztuki? Wydaje się, że jedną z subiektywnie sensownych odpowiedzi jest; badanie sztuki/mówienie o sztuce, to operacje logiczno – semantyczne, jako zróżnicowane sposoby opisywania sztuki, gdzie określone pojęcia i określone sądy są niedookreślone (nierozstrzygające), a zatem nie w pełni adekwatne, w stosunku do sposobu istnienia wytworów sztuki. Z powyższego punktu widzenia, można wskazywać na aspekty problemu równowagi w sztuce, ujęte teoriomodelowo, jako modele subiektywnie sensowne. Można przyjąć, że równowagą w sztuce, jest decyzja odniesiona do wytworu

artystycznego, którą wytwór, ma zafunkcjonować w takiej to, a takiej teoretycznej jakości. Jeżeli równowaga w sztuce, ma wskazywać na przykład, porządek strukturalny, indywiduów, a dysrównowaga ma wskazywać na ich nieporządek, to pojawia się pytanie, o hierarchię wartości w sztuce. Czy równowaga podnosi wartość czy ją obniża? Czy dysrównowaga kooperuje z równowagą, czy jest z nią w konkurencji, w aspekcie wartościowania dzieła? Tak zadane pytania, wydają się być nieproblematyczne, ponieważ analizując w sztuce, na przykład dwa różne stany rzeczy, funkcjonujące jako artystyczne indywidua, można przyjąć, że są one tożsame w uruchamianiu sytuacji estetycznej, są równoważne. Tak funkcjonującą, (zdeterminowaną?) równowagą, można ująć terminem - zero estetyczne, ponieważ wartości powyżej



tego zera, wskazywałyby na różnicowanie estetyki, wprowadzając do sztuki, estetyki pierwszego i kolejnych rzędów, a w konsekwencji hierarchę ich wartości. Hierarchia estetyki, wskazywałaby na obiektywny/sformalizowany podział dzieł sztuki, na estetyki lepsze i na estetyki gorsze, zależnie od stopnia estetyki z hierarchii estetyk. Wynikiem tego, byłby brak spójności terminu - dzieło sztuki, i być może, termin ten przestałby być operatywny. Wytwory sztuki, wydają się zatem funkcjonować, w zrównoważonych układach oddziaływań spajających, (w sterylności semantycznej?), w zerowości estetycznej. ♦

„Akant” prosi o pomoc! 1,5% podatku

Dewolucja prasy konwencjonalnej zwanej papierową sprawia, że byt „Akantu” został zagrożony. A przecież czasopismo konwencjonalne jest trwałym dokumentem literackim i dobrze o tym wiedzą twórcy publikujący w Internecie. Proszą nas, często bardzo gorąco i – jak to w życiu literackim bywa – nierzadko, natarczywie, o druk. Bo druk inspiruje i konfrontuje. A my prosimy o pomoc w formie choćby drobnych dotacji, bo inaczej nie przetrwamy. Solidarność literacka, ale też obopólny interes. I odpowiedzialność za dalszy byt polskiej literatury.

Od trzech lat prosimy o przekazanie na nasze konto 1,5% podatku. W ubiegłym roku solidarność literacka przyniosła z tej akcji sumę, która pomogła pokryć koszty wydania jednego numeru „Akantu”. Mamy nadzieję, że w tym roku pomożecie nam, Przyjaciele, wydrukować dwa całe numery, a jak wiecie – jest ich w ciągu roku trzynaście. „Akant” jest jedynym miesięcznikiem na świecie, który wychodzi trzynaście razy w roku.

Przekazujemy więc dane konta na podatek 1,5%, z którego korzysta Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych, będące wydawcą „Akantu”:

Centrum Inicjatyw Lokalnych, 42-400 Zawiercie, ul. Senatorska 14, KRS 0000 215 720

Aby przekazać 1,5% podatku należy wypełnić odpowiednią rubrykę w rocznym zeznaniu podatkowym PIT (28,36,36L, 37, 38, 39, PIT-CFC, PIT-OP)

Aby środki do nas trafiły należy wypełnić dane pola w następujący sposób:

Numer KRS: **0000 215 720**

Cel szczegółowy: **AKANT**

Wypełnienie pola „Wyrażam zgodę”: **X**

C. Przekazanie 1,5% podatku należnego na rzecz OPP¹⁾

Jeśli podasz numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (numer KRS) OPP wybranej z wykazu zamieszczonego na stronie Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, to złożysz wniosek o przekazanie OPP kwoty w wysokości 1,5% podatku należnego wykazanego w PIT-40A. W poz. 10 możesz podać cel na jaki chciałbyś, aby wskazana przez Ciebie OPP przeznaczyła tę kwotę (cel szczegółowy). Jeśli zaznaczysz kwadrat w poz. 11, wyrażisz zgodę na to, żeby urząd skarbowy przekazał OPP: Twoje imię, nazwisko, adres wraz z informacją o kwocie dla OPP.

9. Numer KRS	0000 215 720	
10. Cel szczegółowy	AKANT	11. Wyrażam zgodę ☒ 1. tak

Tylko prawidłowo wypełniony formularz oznacza przekazanie nam środków z 1,5%.

Cząstka wszechświata

Popularnonaukowy esej, wydany w formie niewielkiej książeczki, w bardzo ograniczonej ilości egzemplarzy, pt. „Podziw jako fundament religii. Rozważania o wszechświecie i życiu”, autorstwa Wojciecha Marii Zalewskiego, pojawił się w prześwicie przestrzeni kultury, literatury, nauki i religii – bo tak właśnie możemy umiejscowić ten wielowątkowy wywód, odnosząc się do jego treści, jak i formy – dzięki staraniom Galerii Autorskiej Jana Kaji i Jacka Solińskiego, w tłumaczeniu z języka angielskiego, Kajetana Solińskiego, (Galeria Autorska, Bydgoszcz 2023).

Publikacja zawiera wiadomości dotyczące budowy wszechświata i zmian w nim zachodzących. Jako punkt wyjścia podaje informacje od dawna znane, w tym, potwierdzone dopiero przez współczesną naukę, niektóre tezy Alberta Einsteina. Urastającą do rangi symbolu jedność Kosmosu, wyrażoną w znanym wszystkim równaniu $E = mc^2$. Wiadomości te, nieeksponowane w książce, mogą jednak zostać rozpoznane przez każdego, kto posiada podstawową wiedzę na ten temat, kto śledzi ogólnie dostępne źródła, związane z rozwojem nauki. Równocześnie, znajdujemy tu bardzo znaczące wyniki najnowszych badań interdyscyplinarnych – które zaczerpnięto ze źródeł anglojęzycznych – łączących wiedzę z zakresu matematyki, chemii i fizyki, które jak wiadomo współdziałają z nowoczesną astronomią. A gdy dodamy do tego, w podtekście, możliwości, które stwarza najnowsza technika, służąc bezpośrednio nauce, a nie przecież tylko gospodarce i ekonomii... I zauważymy jeszcze, konkretną wiedzę dotyczącą medycyny, w tym rolę genetyki i fenomeń DNA, w połączeniu z psychologią i socjologią, a także osobną wartość wiedzy antropologicznej, dotyczącej bezpośrednio rozwoju człowieka, wtedy w pełni docenimy niezwykły, intelektualny konglomerat, ujęty w syntezie i charakteryzujący tę publikację. Buduje go szerokie wykształcenie i zainteresowania samego autora, które cały czas są rozwijane w aurze naukowej dyscypliny i docieklivosti, co dobrze wyraża określenie „trzymanie ręki na pulsie”. W tym miejscu warto też wspomnieć, że w przemianach Kosmosu, jak i człowieka, uważny czytelnik może odnaleźć teorię ewolucji, która już dość dawno została „zharmonizowana” z teologią chrześcijańską. Bogate, a równocześnie bardzo syntetyczne rozważania, przekazane komunikatywnym, czystym, niekiedy wręcz poetyckim językiem, przenika refleksja filozoficzna.

Przerwa

Człowiek jest integralną częścią skomplikowanej konstrukcji, jaką jest wszechświat. Składa się on z tych samych pierwiastków i związków, co otaczająca go rzeczywistość, od momentu „wielkiego wybuchu”. Istnieje teoria, że ujęcie choćby jednego z elementów – posługując się naukowo-poetyckim skrótem – od galaktyki po najmniejszą cząstkę, zwaną neutrina, dopro-

wadziłoby do rozchwiania tej organicznej całości, stworzonej na zasadzie osmozy, czyli wzajemnych połączeń, zależności i oddziaływań. Do zakłócenia porządku. Wszystkie elementy wszechświata są w ruchu, na co zwrócił już uwagę, cytowany przez Zalewskiego, św. Tomasz z Akwinu. W książce więc, rozpatrywane są różne poziomy i zagadnienia rzeczywistości. Relacje człowieka z naturą i siłą wyższą, a także relacje człowieka ze wspólnotą. W wielkim skrócie myślowym, na podobieństwo błysku komety, przebiegamy tu przez historię cywilizacji i



historię religii, w tym, wierzeń plemiennych i wielkich religii monoteistycznych. A te ostatnie, według autora, wyraźnie zmieniły swoją formę, bo stały się rodzajem instytucji, czyli odeszły od bezpośredniego i szczerzego odczuwania Tajemnicy. Pokonujemy drogę od „pierwocin”, przez kulturę rolną, po miejską i jej stan współczesny, nie mający żadnego odpowiednika. A za przeżywaną teraz nowoczesnością, jej ekspansywnym rozwojem, paradoksalnie, człowiek już nie nadaża. Można wysnuć wniosek, że obecnym etapem cywilizacji jest on wyraźnie przytłoczony. To, co sam stworzył, nie sprzyja jego wewnętrznemu rozwojowi, a przeciwnie, zagraża człowieczeństwu. Do czego więc zmierzamy? Pytanie wydaje się retoryczne. Zatracone zostaje to, co pozwalało człowiekowi rozpoznać, odczuwać i rozumieć, egzystować w szacunku i harmonii z innymi istotami żywymi, godzić się, z obowiązującym cały świat stworzony, prawem przemijania.

Co ciekawe – dokonując dalszej interpretacji tekstu – właściwie cały czas jesteśmy blisko problematyki człowieka, jednak w różnej „konfiguracji przestrzennej”. Najczęściej więc, parafrazując i upraszczając definicję cząstek elementarnych, które są

tak małe, że nie zajmują żadnej powierzchni – jesteśmy pokazani jako taka „cząstka” wobec wielkości wszechświata. Człowiek jako jednostka i gatunek, wraz z wszystkim, co stworzył, wpisuje się w działanie nieskończonej, niematerialnej, nie najsilniejszej ze znanych a jednak najtrwalszej, nieustannie aktywnej i wszechobecnej siły grawitacji. Warto też dostrzec, że Wojciech Maria Zalewski nie wprost, ale podobnie, w innym miejscu wywodu tak właśnie charakteryzuje obecność Boga. W podobnej aurze opisuje również możliwość zaistnienia ludzkiej myśli, jej trudną do zdefiniowania „naturę”. Konstatując syntetyczną charakterystykę siły grawitacji, dodajmy, że była ona obecna jeszcze przed wielkim wybuchem... A nadto czytamy, że siła grawitacji: *jest to jedna z głównych sił, która decyduje o kształcie i ostatecznym losie wszechświata.*

Idąc za logiką tego rozważania można stwierdzić, że człowiek nie ginie, ale ulega przetworzeniu, i wnika w strukturę ciągle jeszcze niezrozumiałej dla siebie, a fascynującej go Całości, której początku i końca nie zna. To niełatwe przyjąć, że „kosmiczny pył”, jakim jesteśmy, okazuje się niezbywalny w przestrzeni Kosmosu – w której 95 procent zajmuje połączenie ciemnej masy i ciemnej energii. A ta ostatnia, jak wiemy, ciągle wpływa na poszerzenie i wydłużenie, a tym samym wewnętrzne „rozrzedzenie” przestrzeni wszechświata.

Ale w naukowej narracji autora dostrzegamy też inne spojrzenie, czyli z „punktu widzenia” człowieka. Tutaj wyjątkowo ważne okazuje się przypomnienie czytelnikowi budowy i zasady funkcjonowania ludzkiego mózgu, który: *jest najbardziej skomplikowaną strukturą biologiczną w znanym wszechświecie. Ewolucja mózgu jest nieznana. Zgodnie z najnowszymi badaniami, najważniejsza, najsilniejsza jest w nim sfera emocji – a nie, jak wcześniej uważano, poznanie poprzez intelekt. Ze zbioru pozytywnych i wyższych emocji, wyłania się sfera duchowości. Zbliżając się do „gęstego”, pod względem treści, tytułu eseju „Podziw jako fundament religii” przypomnijmy, że najstarsza część mózgu, zwana ciałem migdałowatym, stanowi emocjonalne centrum mózgu i wytwarza właśnie uczucie podziwu, tak pierwotne i trwałe, jak uczucie strachu, obydwa zaś gwarantują przetrwanie gatunku. Okazuje się, że dzięki podziwowi indywidualnie „rozpoznajemy” otoczenie i żywo na nie reagujemy. Nawiązujemy relacje z innymi ludźmi, co przede wszystkim buduje nasze człowieczeństwo. Realizujemy jednostkowe życie i rozwijamy cywilizację, ponieważ aktywny podziw jest przejawem szeroko pojętej żywotności i twórczości. Siły życia – jak nazywa to Zalewski – obecnej w nas, otoczeniu i Kosmosie. To ona cały czas stwarza, utrzymuje przy życiu i odpowiednio ukierunkowuje wszystkie istoty żywe, będąc rodzajem „genu”, dzięki któremu, wszystko co istnieje wie, jak się odnaleźć i funkcjonować, od początku po sam kres. I znowu delikatna sugestia. Czy tak owocna logika trwania, rozwoju i przekształceń może być przypadkiem? Podziwem, który wydaje się „cechą” dogłębnie przenikającą i jednoczącą całą rzeczywistość, obdarzamy siebie wzajemnie, a także naturę, sztukę i Kosmos. Człowiek „naznaczony” podziwem, w naturalny sposób chroni wszelkie życie i*

to, co mu sprzyja... Wyczuwa on, że jest częścią wszechświata, a ma to swoje konkretne uzasadnienie, ponieważ, jak czytamy: *Procesy zachodzące w mózgu podlegają siłom i prawom, które przenikają wszechświat*.

Mózg posiada tylko 1 procent spośród wszystkich istot żywych. Ludzki mózg nadal pozostaje dla nas tajemnicą, jego funkcjonowanie znamy jedynie w 5 procentach. Co nam to przypomina? Czy nie tyle samo wynosi jasna masa i energia w Kosmosie? W jakimś tylko stopniu przez nas poznana, reszta zaś, czyli ciemna energia i masa jest w przeważającej części niewiadomą, ponieważ: *nadal niewiele wiemy o naturze wszechświata*. Jednocześnie mamy świadomość, że panuje w nim *nadludzki porządek*, którego częścią jest grawitacja i śmierć, a więc „coś”, czego człowiek nie jest w stanie zmienić. Ta przebadana część mózgu wytwarza uczucie podziwu, które prowadzi nas do innych pozytywnych i intensywnych emocji, jako reakcji na zastaną przez nas harmonię. W niej współistnieje bogactwo różnych form życia i w nią – jak wiemy – oryginalnie „wpisuje się” człowiek.

Intrygujące jest to, że istota podziwu jest „niezależna”, trwa jakby ponad czasem i okolicznościami. Stanowi on reakcję na odkrytą harmonię oraz na zdobytą wiedzę o funkcjonowaniu Kosmosu i człowieka – o czym wspomniano wcześniej. A dodajmy, że przecież obecny stan wiedzy jest niepomernie większy niż kilka wieków wcześniej, czy nawet kilkadziesiąt lat wcześniej. Niestety – że skomentuję to w osobistym tonie – obecnie nie reagujemy, tak jak dawniej, uczuciem podziwu na ogromne zasoby wiedzy, którą posiadamy, a także, do której cały czas zmierzamy. Tym samym, jakby nie godząc się na istnienie żadnej tajemnicy, która przez naszych przodków była hołubiona, bo wskazywała na niezwykłość ludzkiej egzystencji i otaczającego świata. Powtórzmy, że podziw, jako uczucie pierwotne, zawsze był i nadal jest przede wszystkim podświadomą reakcją, intensywnym odczuciem rzeczywistości i Kosmosu jako wspaniałości, w którą zostaliśmy włączeni, która nas „przekracza”, jak powiedzieliby filozofowie. Podziwowi towarzyszy wdzięczność. Afirmatywny stosunek do życia i jego wszelkich przejawów prowadzi nas znacznie, znacznie dalej. W tym kontekście, dodajmy, że według jednego z najbardziej znanych i cenionych filozofów oraz estetyków, Ernesta Cassirera, afirmacja bliska jest odkryciu istoty życia.

Od początku omawianego eseju – na podobieństwo początku Kosmosu i człowieka – czytelnik czuje, że Wojciech Maria Zalewski, rozważając istnienie w aurze podziwu, zmierza do osoby Boga. Podziw jawi się tu jako wyrazisty przejaw, a może swoisty dowód na Jego aktywną obecność we wszechświecie. Podziw prowadzi nas przez codzienność, jest impulsem do odkrywania prawdy, we wszystkich dziedzinach życia, a także stanowi inspirację dla nauki i sztuki. To sedno naszego egzystowania. W nim się odnajdujemy i spełniamy. Odczuwamy swoją ludzką wartość, źródła moralności i „utrzymujemy się” w poczuciu sensu życia. W nieustannym podziwie – który wydaje się tu również rodzajem wewnętrznego czuwania, napięcia i pogłębianej świadomości daru, jakim jest życie – oddajemy chwałę

Bogu. Widząc wszystko, co stworzył i sami czując się owocem Jego stwórczej mocy. Reasumując i czytając „między słowami” – jak na poezję przystało: poprzez siłę podziwu Bóg kieruje człowieka ku Sobie. Prowadzi go do wiary.

Podziw prowadzi człowieka w naturalny sposób do Boga i formy kultu, jaką jest religia. I tu warto wspomnieć, że autor z dystansem używa pojęcia „religia”, traktując je jako „odwracające uwagę” od żywej i bezinteresownej wiary, o czym wspomniano już wcześniej. Zalewski zauważa, że wszystkie kulty i religie oraz wyrosłe z nich tradycje religijne, które ulegają przetworzeniu w czasie, są osadzone na podziwie. To ich podstawowy i uniwersalny element. Oddziałują one na wiele dziedzin cywilizacji i życia codziennego; prawo, filozofię i sztukę, szeroko pojętą kulturę oraz modlitwę.

Kultura, jako część cywilizacji, jest szczególnym, wyższym przejawem rozwoju człowieka, realizacją idei życia jednostek we wspólnocie opartej na wartościach. Znaczeniu komunikacji, wzajemnego szacunku, pomocy i współodczuwania. W takim kontekście, dla dobra dalszego rozwoju, cywilizacja powinna swój stan „konfrontować” z kulturą. Relacja ta przyczynia się do zachowania i stałego „odnajdywania” cywilizacyjnego porządku, który to, w podtekście tych rozważań, ma swoje źródło w tym nadrzędnym – kosmicznym. Dodajmy, że podobną zależność widziały już cywilizacje starożytne, także najbliższa nam, antyczna. Wynika z tego, że cywilizacje trwają tak długo, jak opierają się na zasadach i skupione są wokół wartości wypracowanych w obszarze kultury. A ta, ze swej istoty, zmierza do zachowania i afirmacji życia. Podobnie jak religia, zaistniała na tym samym gruncie, którym jest podziw.

Z wielopoziomowego wywodu Wojciecha Marii Zalewskiego, możemy wnioskować, że człowiek posiada konkretne wewnętrzne narzędzia, aby odpowiedzieć sobie na podstawowe, egzystencjalne pytania, które kontempluje od początku ludzkości. Człowiek został wręcz ukierunkowany na znalezienie odpowiedzi. Podobnie, jak na podążanie drogą idei określanych jako Platonijskie, których emanację rozpoznaje w sobie i wokół siebie. Nawet teraz, we współczesnym świecie, człowiek pragnie odnaleźć w sobie harmonię, będącą wyrazem jedności na wyższym poziomie.

Autor, przedstawiając najnowsze wyniki badań naukowych z różnych dziedzin, pokazuje, że poznanie intelektualne, empiryczne może być albo wręcz powinno się stać źródłem wiary. A rozpoznanie wzajemnej „odpowiedniości”, która istnieje pomiędzy człowiekiem, otaczającą go rzeczywistością i Kosmosem, prowadzi do uznania istnienia Boga jako Stwórcy wszystkiego. Jest jeszcze jeden wniosek, który nieco podbarwiony i wzmocniony ironią – mieszczącą się jednak w logice tego tekstu – prowadzi do uznania za wierzących w Boga wszystkich, którzy odczuwają i podziwiają wszechświat. W podtekście – jak sądzę – łącząc tę afirmatywną postawę z życiową praktyką i rozwojem duchowości. Aktywna rzeczywistość transcendentna przenika wszechświat, którego integralną częścią jest człowiek. Jakże podobnie, u podstaw, widział tę kwestię Platon i Plotyn – początku naszej europejskiej cywilizacji.

Przerwa

Niech zakończeniem prezentacji oraz interpretacji tego popularnonaukowego eseju będą słowa Wojciecha Marii Zalewskiego, które zamykają jego inspirujące i cenne rozważania: *jestem nanosekundą wszechświata i jego kwantowym elementem. Tym artykułem składam hołd podziwu dla jego niepojętej wspaniałości w moim przemijaniu*. ♦

Regulamin XX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego o „Cisową gałązkę” im. L. Wyczółkowskiego

Regulamin:

1. Konkurs adresowany jest do osób w wieku **od 15 do 25 lat**.
2. Warunkiem udziału w Konkursie jest nadesłanie wydrukowanego zestawu wierszy, zawierającego od 1 do 3 utworów, które nie były wcześniej nagradzane w innym konkursie ani publikowane w Internecie. Każdy wiersz powinien być opatrzone godłem (pseudonimem) i nadesłany w 4 egzemplarzach. Do takiego zestawu należy dołączyć Kartę uczestnika/Kartę uczestnictwa dziecka - *Załącznik nr 1* do Regulaminu, który dostępny jest na stronie www.cekcy.pl. Wiersze nadesłane bez Karty uczestnika/Karty uczestnictwa dziecka nie biorą udziału w Konkursie.
3. Prace należy **dostarczyć do 24. kwietnia br.** (decyduje data stempla pocztowego).
4. Tematyka prac jest dowolna, mile widziane wiersze inspirowane pięknem Borów Tucholskich.
5. Oceny utworów dokona Jury powołane przez Organizatora.
6. Laureat Konkursu otrzyma nagrodę główną w kwocie **1000 zł**. Nagroda główna przekazana zostanie w ciągu 7 dni na rachunek bankowy wskazany przez Laureata.
7. Uczestnicy wyróżnieni otrzymają nagrody pieniężne i rzeczowe.
8. Laureat i osoby wyróżnione zobowiązane są do udziału w gali finałowej Konkursu (nieobecny finalistom konkursu nagrody nie będą wysyłane).
9. Przed finałem Konkursu, o werdykcie Jury, zostaną powiadomione wszystkie nagrodzone osoby. Informacja przekazana zostanie telefonicznie lub za pomocą poczty e-mail. Organizator ogłosi również wyniki Konkursu niezwłocznie po jego zakończeniu na stronie www.cekcy.pl oraz na facebooku Biblioteki.
10. Wiersze nagrodzone zostaną opublikowane w miesięczniku literackim „AKANT”.
11. Organizator nie zwraca nadesłanego tekstu i jednocześnie zastrzega sobie prawo do nieodpłatnego publikowania wierszy, bez wcześniejszego powiadomienia o tym autora, na stronie internetowej Biblioteki, w prasie i innych mediach oraz w wydawnictwach własnych Biblioteki.
12. Organizator może wykluczyć uczestnika Konkursu w przypadku naruszenia przez niego Regulaminu.
13. Organizator zastrzega sobie prawo do wprowadzenia zmian w Regulaminie.
14. Udział w Konkursie oznacza akceptację wszystkich postanowień Regulaminu.
15. W sprawach spornych, nie ujętych w Regulaminie, decyzję podejmuje Organizator.

Finał Konkursu wraz z wręczeniem „Cisowej gałązki” odbędzie się **04.07.2026 r. (sobota) o godz. 19.00** na wieczorze literacko-muzycznym, połączonym z prezentacją nagrodzonych utworów.

Organizator:

Gminna Biblioteka Publiczna w Cekcynie
ul. Główna 9
89-511 Cekcyn
biblioteka@cekcy.pl

Wojciech Trzeciński

Wdzięczność

Tak, chcę upomnieć się o prawo do wdzięczności
Dla Pana wszystkiego i wszystkich
Emmanuela przyjmowanego i odrzucanego
Krwawiącego wodą
Nawadniającego krwią
Ptaka karmiącego ciałem ze swej piersi

Za nie do ogarnięcia galerie starych mistrzów
Wpatrzonych w Ciebie wzrokiem głodnych
Na tle tajemnych krajobrazów gdzie
Brak perspektywy lecz pełno obietnicy
Za złoto na talerzach nad głowami Masaccia
Z których jeść byłoby Iluminacją
Za niewymowną wiosnę dłoni i twarzy Boticellego
Których czas jest wciąż porą zakwitania hic et nunc
Za Fra który tak chciał być tylko anielskim posłańcem
Że nie zostawił imienia lecz ogień zwiastowania i popiół czaszek
A przecież jeszcze przebity smok Carpaccia na gobelinie z piszczeli
Porażony rycerską dumą tkaną z mieczy tętnic z ciosów oka

Za ludzi serdeczniejszych ode mnie i niech mi będą wybaczone:
I ironia, i zbytńia wygoda, okresowe zapędy sezonowej bestii
I że chciałem czasami bez umiaru wypowiedzieć bolesne piękno świata
Gdzie kamień niebo i morze budują pejzaże odurzenia
Niemożliwych wywarów, alchemicznych objawień
Przy których zyskuję świętą możliwość wytchnienia czyli chwilowej śmierci
Dając w końcu roślinie i zwierzęciu odpocząć od siebie
Jak chcieli od zawsze pijacy i włóczędzy

Tak to przedziwnie wdzięczność musi prowadzić do prośby o przebaczenie
Skowytu wilka rannego w łapę dla jego dobra by się powściągał
I że oszczędziłeś mi jak dotąd smug rozpaczki całkowitej
A wina jasne i ciemne jakby nie plątały moich kroków
Jednak nigdy nie okazały się wywarem z cykuty
I nie jak u Lukrecjusza – nie każda minuta rani
A ostatnia może nawet
Zrodzi na nowo.

Jerzy Grupański

Kamień węgielny

Twórcom modelu Wronieckiej synagogi

Tylko ich dwóch
- Pojasek i Idaszek
a chłopcy silne jak cyklopy
bo belki bo głazy
Mur na metr szeroki prawie
I tak się trudzą i tak podnoszą
Panu na chwałę

W ścianie na wschód – Tora
tam gdzie Aron ha – Kodesz
Nad nią Ner Tamid lampa świeci
Na Torę parochet złotem szyty
i Menora

Żeby tak jeszcze skądś
ta święta cegła
założycielski kamień
żeby z Doliny Cedronu
z tej ziemi
co między wzgórzem świątynnym
a Oliwną Górą

Krzysztof T. Konecki

Odkryłem historię szaleństwa

Odkryłem historię szaleństwa
Czekała na mnie w zachowku
Nierozpoznana aż do teraz
dobrze ukryta

Spojrzałem wstecz
Nic nie układało się w spójną historię
Chaos bezkształtnych przedmiotów
Przypadkowe zderzenia gwiazd
Wojny bez powodu
Morderstwa bez motywu
Bezsenne noce
Miłości niedoznane
Nie ma lepszych dowodów na to
że jest się szaleńcem

Spaliłem tysiące świec
Wypiłem hektolitry mszalnego wina
Padałem na kolana na rozkaz wielbego
Siedziałem z wami latami
i milion razy wybaczałem

Szaleństwo oświecenia
oświecenie szaleństwa
Uderza jak serce dzwonu
Jak robaczek świętojański w nocy
Jak nagły wybuch pożądania

Spacer nieskończony na antypodach
półsennej świadomości
Idę po wodzie po czym wznoszę się
Nie opadam

Oto historia szaleństwa
Mojego
Własnego
Przykutego
do drzewa dobrego

Przyjemne doznanie oblędu
Dowód ostateczny

Małgorzata Borzeszkowska-Bojke

List z zażaleniem

I widzisz Giotto, piszę do ciebie od lat, składałam skargi - nie odpowiadasz.
Wciąż nie wyjaśniłeś, dlaczegoś to u Scrovegnich wbity w pociemniałe niebo
tkwię nieruchomo ponad krzyżem i jestem bezradnym świadkiem Jego cierpienia?
A czemuż nie tu? Dlaczego nie ma mnie tu, ponad dachem stajni?
Ktoś ci jednak powiedział, że to grota, grotto?
Giotto dałeś szansę tym w powłóczystych szatach, ze szczupłym dłońmi
i o szlachetnych rysach twarzy,
fruwają swobodnie ponad Panem Świata i jego Matką.
Józef zadumany, ludzie zadziwieni, jest radość i szum skrzydeł.
I nawet osioł ma więcej szczęścia, stoi tak blisko, że gdybyś mu pozwolił,
językiem dotknąłby Jego rączki.
Giotto, gdybym to ja tu był, umiałbym go rozweselić,
Mariam mogłaby zasnąć choć na krótką chwilę, a ja?
Ja bym fikołki kręcił w powietrzu, grzechotkami potrząsał, śpiewał Lulajże.
Czemu przypiąłeś mnie do nieba na końcu tej historii, na jej prawie końcu,
a nie w sennym Betlejem;
byłbym lepszą niańką niż płaczką żalobną
I przyniósłbym Gwiazdę
najjaśniejszą Panu i mirrę, i złoto,
bo jak zawsze Giotto
o czymś zapomniałeś

Sztuczna inteligencja, a nowa perspektywa humanistyczna

Jeszcze niedawno wydawało się, że pisanie to ostatni bastion człowieczeństwa. Tymczasem rozwój generatywnych systemów AI stanowi istotne wyzwanie dla współczesnej kultury. Dotąd maszyny mogły liczyć szybciej od nas, analizować dane, sterować ruchem ulicznym czy diagnozować choroby. Ale pisać literaturę, a tym bardziej wiersze. To przecież należy do sfery ducha, tej istotnej ezoterycznej przestrzeni, w którym poznanie spotyka się ze słowem. Obecnie ta nowo powstała inteligencja algorytmów potrafi tworzyć teksty, które można określić jako poezja, pisać eseje, a tym bardziej opowiadania pełne wyrafinowanych emocjonujących opisów. W tym miejscu należałoby już na obecnym etapie rozwoju sztucznej inteligencji zadać sobie zasadnicze pytanie: czy to jest już utwór literacki czy tylko namiastka – dosadniej zaczyn. Algorytmy zdolne do tworzenia literatury podważają przekonanie o wyłączności twórczej ludzkiej świadomości. Nasuwa się zatem pytanie, czy teksty powstałe przy pomocy tego medium posiadają status dzieła literackiego w znaczeniu ontologicznym i kto zatem staje się autorem tej kreatywności. To podważa dotychczasową elementarną podstawę humanizmu, zatem należy pochylić się nad ponownym wypracowaniem tych kategorii. Aczkolwiek analizując strukturę dzieła literackiego należałoby odwołać się do Romana Ingardena, który twierdził, że utwór to nie wyłącznie materia tekstu ani psychiczne doznania jego autora, ale jest przedmiotem intencjonalnym, czyli jego istnienie zawiera się w kilku warstwach: znaczenia, przedmiotu i metafizyki. Oznacza to, że byt utworu jest czysto relacyjny i ulega ciągłej aktualizacji w procesie jego lektury, wobec tego jego ontologiczny status nie jest zależny wyłącznie od doświadczenia czy stanu emocjonalnego jego twórcy, ale od systemu zaistnienia w świadomości odbiorcy.

Dotychczas zasadniczo twórca pisze poprzez cały konglomerat zdarzeń doświadcanych w codziennym funkcjonowaniu, prościej ze zderzeniem pamięci, bólu, zachwyty i jeśli nawet jest to fikcja literacka to zawiera się w tym żywe doświadczenie człowieka. Niezbędna jest świadomość czasu, wewnętrznych pragnień i sensu naszego bytu. Algorytm jeszcze nie zna strachu ani uczuć wyższych. Nie tęskni i nie oczekuje na drugą osobę. Jednak pomimo braku tych atrybutów humanitaryzmu – człowieczeństwa, powstają teksty zawierające emocjonalny ładunek wywołujący u czytelnika wzruszenie. Zadać należy pytanie jak jest to możliwe? Myślę, że odpowiedź jest tutaj jednoznaczna, a zarazem bardzo niepokojąca. Powstają teksty niepodparte doświadczeniem, lecz w rezultacie analizy innych. Maszyna wyniku tych operacji koryguje jakie wyrazy najczęściej pojawiają się obok, jakie ewentualne metafory pobrzmiewają bardziej naturalnie i wywołują zamierzone doznania. Jeszcze na tym etapie operacji

nie do końca odtwarza formę, taką jakie wyraża ludzkie uczucie. Czy jednak można postawić tezę, że jest to już twórczość? Czy nastąpi stopniowe eliminowanie dotychczasowych form twórczości literackiej? Czy jednak współistnienie w symbiozie!

Jeżeli sięgniemy głębiej w historię opisu procesu twórczego to przekonamy się, że już na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku krytycy literatury pisali o tym jakoby autor nie do końca był źródłem sensu. Czyli jednak to potencjalny czytelnik sankcjonuje znaczenie tekstu. Tak! Bo gdy dla przykładu zapoznajemy się z wierszem, to zasadniczo nieistotne jest dla nas w jakim nastroju był jego autor – przeżywamy wewnętrznie i nasz odbiór jest bardzo subiektywny. Idąc tym tokiem rozumowania wiersz napisany przez poetę i tekst wygenerowany przez algorytm może oddziaływać podobnie, jeżeli tylko porusza nas, stymuluje, skłania do przemyśleń. Wówczas możemy stwierdzić, że spełnił swoją funkcję. Czy intuicyjnie doznamy wrażenie odrębności? Może tylko podświadomie będziemy wyczuwali niepokoje czy autorem jest człowiek z całym bagażem swojej osobowości czy tylko maszyna, która pozbawiona jest empirii – losu, a jej wytwór jest wynikiem wielu innych głosów. Wobec tego zasadniczo następuje powolny proces, może jednak przyspieszony czas przemiany indywidualności autora jego twórczego geniuszu na rzecz współpracy z dostępną technologią. Symbioza człowieka i technicznego wytworu, przeto różnica pozostanie tylko w źródle i w kontekście pochodzenia utworu. Jak sięgamy pamięcią wstecz to każe nowe zdobycze techniczne w tej dziedzinie wpływało na sposób pisanie. Począwszy od druku, maszyny do pisania czy komputera to wszystko sprzyjało zmianie i niekiedy miało pewien wpływ na styl i formę. Zatem sztuczna inteligencja jest tylko etapem kolejnych zmian, które mogą być niewątpliwym wsparciem i narzędziem niekończących się eksperymentów oraz nieograniczonych twórczych inspiracji.

Bądźmy spokojni literatura nie zniknie z naszej przestrzeni, zmieni się zapewne jej kontekst sposób powstawania i rola autora. Czytelnik nadal będzie poszukiwał opisów, w których rozpozna siebie, bo sens literatury nadal będzie rodził się w jednostce twórczej – z całym jej zasobem wrażeń, przeżyć i analizy. Jesteśmy na początku transformacji, AI tworzy nowe propozycje, kombinacje, obrazy, czyli posiada już zdolność łączenia elementów w nowe konfiguracje. Margaret Bodem nazwałaby to kreatywnością kombinatoryczną. Swoiste symulakry (Jean Baudrillard), które nie odnoszą się do rzeczywistości, lecz do innych znaków. Paradoksem jest jednak to czy będziemy w stanie odróżnić genecę inspiracji, czy wzruszenie wywołane lekturą jest prawdziwe nawet jak zostało wsparte algorytmem. Martin Heidegger spostrzegł,

że dzieło sztuki w zasadzie odsłania aksjomat bytu. Interpretując można stwierdzić, że literatura nie jest zwyczajną opowieścią, lecz także sposobem spostrzegania świata. W tym przypadku algorytm nie doświadcza jeszcze w ten sposób, nie posiada tej biologicznej właściwości, nie odczuwa bólu, nie operuje krajobrazem, ale zadany pierwotnie językiem. Pomimo nieposiadania tych atrybutów jego wynik jednak potrafi być zdumiewająco wiarygodny. Czy zatem ogłoszona przez Rolanda Barthesa „śmierć autora” jest zasadna. Pisał, że sens tekstu nie powstaje w intencji autora, lecz w procesie lektury czytelnika, bo jest on miejscem, gdzie przenikają się znaczenia. Idąc dalej tym dukiem dedukcji, sens jawi się jako zależny od odbiorcy, zatem praprzyczyna powstania utworu jest drugorzędna. Może jednak autor nie „umarł”, ale zmienił formę i mniej lub bardziej świadomie stał się współtwórcą procesu wymiany propozycji pomiędzy nim a maszyną. Zatem możemy spodziewać się, że coraz częściej będziemy mieli do czynienia z tekstami, które powstały wyniku dialogu z algorytmem. Współczesna filozofia mówi o podmiocie rozproszonym, czyli technologiczno-hybrydowym w którym jak twierdzi Rosi Braidotti człowiek nie jest samotnym centrum świata, lecz stanowi jeden z części sieci powiązań. W tym akcie twórczym nie znika autor, ulega jednak procesowi transformacji z niezależnego w uczestnika technologicznego dialogu. Czyżby literatura powstała z udziałem algorytmów staje się tego potwierdzeniem, a jej autorstwo ulega stopniowej reorganizacji z kategorii czysto ontologicznej w relacyjną. Nie geniusz, lecz relacja, nie natchnienie, a proces, nie autonomia, lecz współzależność-dialog jest jeszcze jedną cechą procesu twórczego. Można zatem postawić tezę, że sztuczna inteligencja nie spowoduje końca literatury, ale staje się nowym etapem przemyśleń i kategoryzacji nad jej istotą. Otwiera to nowe możliwości poznania specyfiki ludzkiej natury i jej wytworów.

Parafrazując na zakończenie pokuszę się o spostrzeżenie, że literatura dla czytelnika to miejsce spotkania z tekstem, niezależnie czy powstał w tradycyjny sposób osadzony w określonej epoce uwarunkowaniach psychospołecznych czy z jednym z rozmówców jest algorytm. Tekst po wytworzeniu staje się niezależnym od autora polem indywidualnej analizy. Zawarty w przekazie głębszy sens jego hermeneutyczne uchwycenie ulega autonomicznej przestrzeni interpretacji, a praprzyczyna powstania jest wtórna wobec całego przebiegu jego zrozumienia. ♦

Bibliografia

- Barthes R. *Mitologie*. Warszawa 2008
- Baudrillard J. *Symulakry i symulacja*. Warszawa 2005
- Bodem M. *The Creative Mind: Myths and Mechanisms*. London 2004
- Braidotti R. *The Posthuman*. Cambridge 2013
- Heidegger M. *Źródło dzieła sztuki*. Warszawa 1997
- Ingarden R. *O dziele literackim*. Warszawa 1988

Las mu to powiedział

Ranek powitał go ostrym promieniem słońca, w którym tańczyły drobiny kurzu, i głośnym stukaniem fajerek. Żona nastawiła wodę na kawę zbożową. Zerknął przez okno na zielony stok połoniny. Powietrze było przejrzyste i wreszcie widział odległe szczyty Tarnicy i Halicza, które przez ostatnie dni spowite były ciemnymi chmurami. Przez moment przemknęło mu przez myśl, że zapomniał wygasić retorty i drewno wypalało się przez całą noc, ale przypomniał sobie z ulgą, że jest już emerytem. Kilka tygodni temu skończył z wypalem na dobre, zorganizował biesiadę pod chmurką dla znajomych zakapiorów i kupił sobie nowy kapelusz z piórem orla przedniego. Latem miał zamiar wyruszyć na wędrowkę w głąb lasu do najmniej dostępnych uroczysk, ale na razie zachwycał się świeżą zielenią listowia i odzyskiwał siły po latach katorżniczej pracy. Przez jakiś czas łudził się, że Jędrzek zajmie się retortami i przejmie po nim interes, ale chłopak nagle wyjechał do Niemiec i nadzieja na sukcesora okazała się płonną. Czasem chodził w kierunku polany i patrzył z rozrzwinięciem na zimne piece. Ile wspomnień!

Najlepiej pamiętał Alicję. 30 lat temu eteryczna dwudziestolatka zjawiała się na wypale znikąd, zrobiła kilka zdjęć i została z nim przez niemal rok. Do dziś zachodził w głowę, co skłoniło studentkę z Warszawy, żeby rzucić wielkie miasto i zamieszkać z nim w środku lasu? Zniknęła równie szybko jak się pojawiła i została po niej tylko jedna fotografia. Roześmiana dziewczyna stoi w strumieniu, ma na sobie jedynie długą, moką koszulę i zalotnym gestem odgarnia z czoła niesforny pukiel czarnych włosów. Migawka aparatu uchwyciła chwilę krystalicznie czystej beztroski, która zdarza się w życiu dorosłego człowieka zaledwie kilka razy i zwykle pozostaje niezauważona jak klejnot tkwiący między szarymi płytami chodnika. Wzbraniał się przed pokazaniem tego zdjęcia żonie i wyciągał je nie częściej, niż kilka razy do roku, traktując jak relikwie. Czasami zastanawiał się, co teraz dzieje się z Alicją, ale zaraz przestawał o tym myśleć, bo wiedział, że weryfikacja iluzji niczego dobrego nie przynosi. Taki był z niego wypalacz-filozof...

- Idziesz dziś na zakręć? – spytała żona, brutalnie przerywając jego zamyślenie.

Zawsze mówili o *zakręcie* mając na myśli piece, bo znajdowały się dokładnie na wysokości zakola szosy. Kiedyś drogówka miała nawet jakieś pretensje, że dym i nic nie widać...

- Pójdę do lasu. Może trafi się jakiś zrzut?

- Idź. Przydałoby się parę złotych.

Założył znoszone gumki i wojskową kurtkę. Ubranie się wymagało ostatnio tak wiele wysiłku! Właściwie to nie rozumiał, jakim cudem przepracował tyle lat na wypale. Czy to ten sam człowiek codziennie dźwigał tony drewna, wybierał łopatą metry sześciennego węgla i pakował to w wory? Teraz zdawał się swoim własnym cieniem – opadł z sił, schudł i tylko oczy jakby ożyły. Patrzył na świat z wyjątkową ostrością i obrazy coraz częściej wywoływały w nim głęboki rezonans. Wszystko trafiało prosto do serca, poruszało dawno zastygłe fale emocji...

Już między pierwszymi bukami poczuł się nieswojo. Coś się zmieniło, czuł, że jest inaczej, ale nie potrafił dociec, na czym polegała zmiana. Drzewa stały jak zwykle, lekka mgiełka już się ulatniała, rozpraszana promieniami słońca, które zdołały znaleźć drogę poprzez listowie. Nagle jego wyostrzone zmysły zanotowały obecność jakiegoś zwierzęcia. Spojrzał w bok i dostrzegł żbika. Kot siedział na grubym konarze czając się do skoku. Nie często spotykało się żbika. Właściwie pierwszy raz widział to piękne zwierzę z tak bliska i na dodatek nie zwracało ono na niego żadnej uwagi. Postanowił nieco się przybliżyć. Zrobił jeden niepewny krok, potem drugi... Żbik rzucił się na jakiegoś ptaszka i natychmiast go zagryzł. Potem, jak gdyby nigdy nic, podreptał ze zdobyczą wzdłuż gałęzi i zniknął w gęstwinie liści. To było niepojęte. Jedno z najbardziej płochliwych zwierząt!

Coś otarło się o jego nogę. Spojrzał w dół i zobaczył dorodnego węża Eskulapa spokojnie wijącego się po jego butach. Poczuł zimny prąd przeszywający całe ciało. Niebawem! Wąż bezgłośnie przeslizgnął się obok starej omszałej kłody. Nie wydawał się niczym zaniepokojony.

Las żył. Soki krażyły w drzewach, zwierzęta dreptały za swoimi sprawami. Szedł przed siebie, rozgarniając zarośla i omijając wywroty. Co jakiś czas napotykał niewiarygodne sceny: tu na mchu kilka salamander, nieco dalej zastygła w bezruchu zwinka, potem zaskroniec spokojnie pozbywający się wylinki, jakiś energiczny jeź... W końcu z niedowierzaniem spojrzał w oczy jelenia. I wtedy zrozumiał – dla lasu już nie istniał. Był jak odłamana gałąź, jak omszały pień...

Począł pisać z powrotem do chaty...

- A tobie co?

- Nic takiego.

Położył się na łóżku. Przez moment snił jeszcze o pięknej dziewczynie stojącej w strumieniu, ale zaraz potem dokonał żywota. ♦

Pierwszy wśród literackich kwartalników



Migotania
Gazeta Literacka
Nr 4 (89) 2025 kwartalnik

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

Epoka nas zadręczyła
wyszła za inne życie
ma niezrozumiałe dzieci
(Stanisław Esden Tempski, Epoka)

POLECAMY

- poezja: Władysław Zawistowski, Blaise Cendrars, Stanisław Esden Tempski, Ryszard Hetnarowski
- Bożena Ptak, Węzeł kolejowy
- Maria J. Fraszevska, O życiu i twórczości Anne Sexton
- Katarzyna Korczak, Zygmunt Jan Rumel, Dokumentacja
- Eugeniusz Kurzawa, Plac Słowiański, Wspomnienia
- Maria Jonkys-Borełowska, O „Epistolach 7”, Henryka Berez
- Agnieszka Moroz, Książki na baczku, Recenzje
- Robert Bolaño, Ambers, proza

Stanisław Esden Tempski
(1952-2025)

Gdybyś przestał kłamać

Być może również
Przestałbyś bać się psów
Czy widzisz we snach strzelby
Tak
Ale one są głuche
Zatkane papierem i watą
Zaszpuntowane strachem
Twoje poranne salwy
Nikogo nie rozbudzą
Twoja żona
Patrzy na ciebie
Z pogardą
Nie pachniesz prochem
O nie!
To nie jest zapach prochu

Nie bój się psów
Albo przestań kłamać
Aby przestać kłamać
Musisz wreszcie
Oblaskawić te psy
Słyszysz je ?!
Tak – to one...
Znow wokół ciebie się rozszczękał
Widnokrąg twoich psów

W numerze prezentujemy prace Jana Miśka
Plakat poetycki: Jan Miśkie
Plakat poetycki: Władysław Zawistowski

Adres redakcji: 80-419 Gdańsk, ul. Dubois 59
e-mail: joa@migotania.pl, tel. 601 840 302

Alina Rzepecka

Godziny: 23.00 Mt 6, 7-8

Przed nocą Mt. 8:2

mam tyle słów
i pewność
w której tonie każdy lęk

mam pełne dłonie
i wiedzę
która podważa korzenie

mam w oczach światło
i moc
od której pękają mury

dlatego wołam o pomoc

klękam na skraju dnia
i pytam co u Ciebie
modlitwa
jak nić napięta do granic
łączy z Twoim miłosierdziem
i uświadamia kruchość porannych postanowień

nie czas na łzy
zbieram siły i próbuję
jeszcze raz
jeszcze dziś
jeszcze nie wszystko stracone

Studnia Prz 25,26

lubię słuchać
szelestu wody na brzegu oceanu
lubię kiedy deszcz
gra stacatto na parasolu
lubię zanurzyć
stopy w chłodnej rosie

kiedy trzeba ocalić Źródło
jestem pustą studnią

Bezwolnie Iz 42,16

Pod górę 2Kor 12,9

niebo cierpnie od obietnic
rzuczanych pod stopy
przypadkowych przechodniów

na jednej szali brawura
na drugiej wypłowiałe rady mędrców

żadna droga nie prowadzi do celu
na próżno się miotam
wszystko już było

tylko drżący ażur pajęczyny
zdaje się łączyć wieżę babel
z kluczem dzikich ptaków

nie ufam zegarom
jestem tu tylko po to
żeby oddzielić cień od kształtu

na wszelki wypadek
stopniuję barwy wojenne
aż do bieli
kamienie uczę czułości

moja wiara zмага się z pewnością światła
o istnieniu zmierzchu

Dominus Flevit Łk 19,41

trzeba tylko trzech dni
żeby zmienić obraz świata
małej łzy
wielkiej zdrady
nieskończonej ufności

łatwiej uwierzyć niż wytrwać

pieje kogut

Chwila na górze Mt 17,2

Pewność Mt 13,46

z samego dna
przez mętną wodę
spośród splątanych wodorostów
podniosłam ją
i zniknął ból

świat wart tej jednej chwili

z wysoka
lepiej widać nawet okruch niewierności
eljasz omija mnie wzrokiem

światło błąka się w mozaikach
i soczystych liściach
wie czego szukam

mandragora uśmierza ból
gałązki oliwne pachną oczyszczeniem
chowam w kieszeniach strąki szarańczynu

marnotrawna

Bezdomność Mt 25,40

tylko drzwi
od klamek wieje chłodem

Perdutamente Mt 11,28

nie jestem sobą od tygodni
dzień zaczyna się bólem kończy brakiem
słońca okradzione z ciepła łzawią oczy blakną
kolory myśli faktura

a przecież uparcie kadruję obrazy
szukam prawdy

cierpkiej zielonej pestki
w której skrywasz przede mną
światło

Świt nad Utratą Mt 14,28

bose stopy chłodzi rosa
sen odpływa w stronę rzeki
budzi skrzydła białym czaplom
unoszą je w niebo

otwieram oczy
tworzę światło zieleni błękit
pachną macierzanki i obietnice
podpełza kurdybanek

mówię kocham i staje się słońce
zamykam je w dłoni

chodzę po wodzie

I z maku cuda...

Umieranie rozpocznie się od oczu, i w oczach zgaśnie, w niczym makowej ciemności narodził się plan: ponieważ nie mógł, nie miał, będzie mógł, zabierze – jutro. Szybkim ruchem ściągnął płatki kwiatu z policzka: – Nie, wypowiadałam w końcu stanowcze nie, może i filozoficzne, ale w gruncie rzeczy bardzo praktyczne nie, jeszcze niewykrzyżowane – bom nieprzebudzony, choć świadom – moje przygotowawcze nie użytkowe. Nie mogę tam pójść... i nie tym razem, wołałbym nawet już nigdy tam nie pójść. Choć wiem, że gramolą się już przez pokoje, po drodze zbierając myśli jak leśne grzyby do kosza, że usadzeni na wygodnych przydużych i przykurzonych sofo-szezlonych już mnie przyzywają wszystkimi imionami i zaklęciami i odcieniami krwi. Nazbyt wiele razy żałowałem, że tam chodziłem przyzwany i zaklinany i upominany, na pewno dziś tam nie pójde, i na pewno nie w tej sprawie, i nie w kontekstach tej sprawy, nie chce mi się przecież opuszczać tej kłitki z kotarą i nibyłożkiem, które stwarzają dla mnie samego pozór wystarczającej otwartości na tak zwany świat, odgraniczając mnie także od niego skutecznie, nie chcę wychodzić poza moje naście metrów żadnej tam rodowej schedy, ani też niezapracowanych, bo i jak, ale moich, póki co, może przez urzędnicy błąd albo nazbytnią łaskawość (mniejsza o to). Mogą próbować swoich sztuczek, zaraz po mentalno-metafizycznym przyzywaniu jak niby-zwierząt na nocny wiec w lesie, mającym ukazać nasze na krwi oparte powinowactwa i bliskości, poczną wydzwaniać po znajomych i pociotkach i pociotkach znajomych, potem wysłać samochody, co ma mnie krępować i zobowiązywać (a jakże!), potem przyjdzie czas na umysłnych kurierów, owych przemoczonych hermesów równie rozcieńczonych (może nawet wycieńczonych) rodowej powagi, którzy teraz niczym draby pod wiejskim gashausem po sobotnich tancen tancen będą mnie wlec na oczach rozpitej i niewyżytej i nieużytej gawiedzi... Nawet pomimo śladów na policzku i potu obrastającego mnie podczas tych wszystkich myśli, nie wyobrażam sobie dzisiaj żadnego potopu, żadnego wrzeszczącego i nawet choćby bezgłośnego ataku wody padającej z góry lub z boku, najpierw czekania na nią, potem tego smarowania ciągle wypadającą z rąk obślizgłą kostką, nazywanego okropnie mydleniem, nacierania cielską gąbką niczym wielkiej plamy z wielkiego rosołu na wielkich spodniach, a potem kichania od tego wszystkiego, wymacywania wieczne niedosuszonych włosów i wyjmowania pojedynczych z kichającego w tym samym kadrze nosa. Tu nie chodzi wcale o żaden upór, czy godność, po prostu nie chcę odrywać się od książek, ustawionych z takim trudem na metrowej kupie obok niby-łożka wedle hierarchii ważności i zapotrzebowania, z przyjemnością nie wymknę się także dzisiaj mojej codziennej oswójonej nędzy, nie mam sił ani wyobraźni na pakowanie myśli i pchanie się przez miasto z takim tobołkiem, który w każdej chwili, przy każdym szarpnięciu czy upadku, może się bezwstydnie rozsypać; nie chodzi tu także o żadną gnuśność, czy apatię, bo nie jest też tak, że niczego nie chcę,

naprawdę..., że wszystko niewdzięcznie odrzucam, mam przecież plan... Ale tam nie pójde. Już samo gramolenie się schodami, mozolne zdejmowanie płaszcza jak zbroi, przejście biblioteką, małym pokojem dziennym, w którym leżakują przy książkach jak dzieci w przedszkolu, średnim pokojem dziennym, w którym robią ciotce zastrzyki – opierając się trasie już nawet tylko w myślach, uświadomił sobie, że w żadnym z korytarzy prowadzących do salonu nie było lustra, gdyby jednak gdzieś tam zawisło, spojrzalby w nie i otrzeźwiony mógłby uciec, ale ... – potem kłanianie się na powitanie, które powinno dawać radość spotkania, a raczej przybiera postacią niczym refluksowej cofki, ocieranie chusteczką czoła, wszystko to napawało go obrzydzeniem, a co dopiero rozmowa, podana jak deser na łące w czasie burzy... Nie chodzi tu o nich, oni nie są tacy źli, i to nawet w najwyższych rejestrach swej zmultiplikowanej i podrabianej troskliwości, gorsza jest sama sytuacja... jej składniki, didaskalia i scenografia.... tak. Nie zmuszą mnie do niczego, nie mają prawa, nie wiedzą, co widzę, nie mają pojęcia, co budzi mój lęk i sznuruje mój zapal, co blokuje ruchy, które i tak są wystarczająco ograniczone przez codzienne łachy, pensjonarskie poczucie wstydu i siły ciężenia. Gdyby chciał zapłacić listę skarg i żali mógłby jeszcze, przetrząsnąć czoło, bardziej nawet policzek, wspomnieć, że tylko domyśla się ich zbiorowej reakcji (bo działali jakby wspólnie, o czym dalej), gdyby wiedzieli to wszystko, czego nie wiedzą, i już nie o tym, co widział każdego dnia i co nosił w swoich oczach, ale czego chciał, czego całym sobą od środka pożałował; kwestionowanie lęków, poprzedzone ich wywekaniem, i toczeniem po salonowych dywanach niczym w panierce, jakkolwiek nieprzyjemne, było jednak w rodzinnym domu, o którym rozprawiał teraz w myślach, bardziej stosowne, wspomnianie o żądzach, a bardziej żądzkach – wręcz niedopuszczalne. Jak mogą cokolwiek oczekiwać, nie wysłuchawszy nigdy najmniejszej skargi z moich oczu, i nieważne że niezaplakanych... Bo cóż jest mówić, cóż jest... Dalece bardziej wołałbym słuchać, a u nich dziwnie tak wbrew prawom natury jakby, że to nie oni mówią, tylko chcą słuchać, pochłaniać wiecznie mówiącego tym swoim wygłodniałym słuchaniem, a właściwie kim ty jesteś, dziś uzasadniający z trudem, i to przez kilka bitych minut, niemożność wzięcia prysznicza, by mówić... by mówić, a nie słuchać.... No kim? A właśnie, teraz już nie myślę, teraz mówię... Eh.

Musi z nami rozmawiać, kształtować z precyzją (ale i fantazyjnie) mówione i mówiące odruchy, nawet gdy wydaje mu się, że do tego potrzebne jest myślenie, niech mówi, nie myśląc, mówi z więzi (prawdziwych i to mnożących się a nie kurczących, jeśli tego nie wie), z szacunku, automatycznie, ale barwnie i roztropnie; musi wypracowywać leksykalne obyczaje, kompromisy, mówić o, komunikować się jak należy przemyślanymi i pełnozdanowymi komunikatami z conajmniej dwoma językowymi ukłonami w naszą stronę

w każdym z nich, nie może nabzdyczać się milczeniem, chować się w nim jak w wiejskiej stodole podczas wojny – tak w innej części miasta myśleli, może nawet mówili, ojciec, matka i ciotka. Ludzie, którzy przez lata wchłaniają to samo mięso, kefir, jarzynkę, mydło, fotony i zarazki, zaczynają myśleć podobnie, co z zewnątrz sprawia wrażenie, jakby w ściśle określonych momentach uruchamiał się od niewidzialnej batuty cały rodzinno-lokalowo-leksykalny chór. Jeśli teraz mówimy, czynimy tak zmuszeni nieszczęsną sytuacją, w której on, krew z naszej krwi, pot z naszego potu, język z naszego języka, zaprzestał mówienia do nas, mówienia nami, bo przecież po tym, jak już wyrzuci w eter słowa, obzongluje je jak należy, obezna i oswoi i ukoronuje, winien także spróbować unieść nas niczym słowa, i nami jako słowami wirować w przestrzeni, aż staniemy się jego mową, nieskończenie precyzyjną i jednakowo rozciągliwą, niech poczuje się jak w cyrku, niech szpicem albo jakim bębniem albo płachtą poskromi nasze rozhułane jak bestie, nasze codzienne, najbardziej naturalne, wręcz przenaturzone, lęki językowego wysłuchiwanie. Musi ciężko i mozolnie, dzień po dniu, skacząc przez wszystkie rozdzielniki niezliczonych cyferblatów, wypracowywać mowę, wytwarzać siatki pojęciowe pełne możliwie najbardziej pojemnych i wyrazistych kategorii, szlifować język, celować intonację (tu myśli ciotki szczególnie akcentowały wszystkie czasowniki: wy p r a c o w y w a ć – s z l i f o w a ć – c y z e l o w a ć, z naciskiem na ć, nieznosnie tak, że gdyby jakimś cudem słyszał ich myśli, zakrywałby z piskiem uszy, jak to on). Niech nie przeciąża także naszych starych zwojów tym swoim planem, o którym myśli, że jest ż y c i o d a j n y, jasny i zbawienny, a który zrodzić mogła wyłącznie gamia największej desperacji i otepienia, i który od posad toczy rozepchane i beczelne robaczysko destrukcji, głupoty i upadku. Nie może także liczyć, że będziemy czytać w jego myślach, wypłapywać wizje niczym motyle na rozanielonej tandetnej łące, potrafimy to robić, a jakże, ale na Boga, to przecież co innego tak się męczyć i błąkać po czyjejsz głowie jak po rozpędzonym kalejdoskopie, albo jak – nie przemierzając – po lepkiem od młodzieńczego potu i wszystkich tych przesłodkawych i na serce niedobrych napojów energetycznych ekranie gier komputerowych, i wyszarpywać przytwierdzone do chorobliwych i opornych przyzwyczajęń świeżo narodzone albo całkiem podgniłe atomy czyichś myśli, miast przyjąć odeń zdecydowanie koniecznie, męsko podaną ofiarę z w y p o w i e d z e n i a, o nie! nie będziemy się wpatrywać zbiorowo, natrętnie i felczersko w jego rozedrgane oczy konia przed podaniem kropki, wizyjne majaki ślizgające się po gałkach, po prostu nie może tego oczekiwać... Bo ile on ma lat? I kim on jest, na Boga, na Boga, na Boga, by nie mówić, by nie mówić do N A S? No kim? Bo jak można gardzić słowem, i nie tyle słuchaniem słowa, bo od słuchania słowa jesteśmy my starzy albo co najmniej przejrzały, ale gardzić w y p o w i a d a n i e m, kto bowiem gardzi słowem, gardzi także najbliższymi... – na uspokojenie podano w salonie herbatę, dużo herbaty, mocnej, najmocniejszej, bo i sytuacja taka herbatogenna; ciotka przyszła spóźniona, usprawiedliwiała ją jednak popołudniowe iniekcje w średnim pokoju dziennym, w ramach chóralnej kooperacji stale dosyłała jednak swoje myśli, po wielokroć bliskie przecież odkrywczości. I tak

myśleli i mówili o nieprzepartej, ojcowsko-matyczno-ciocianej potrzebie słuchania, znaku tych czasów. Eh.

Tymczasem u niego za ścianą dał mordę pijak, więc ani myśleć nie mógł, ani mówić, liczył, że coś zobaczy, że zobaczy coś w ruchu, że połączy oczy z nogami, złamał się na chwilę, wyszedł, wrócił jednak, więc wysłali po niego samochód. Jadąc, widział jednak tylko to, co na zewnątrz – nie docierał do istoty ukazujących się miejsc – ale dzięki temu skutecznie odesłał z kwitkiem myśli o tym, co czeka go w domu rodzinnym. Widzę wodewil, w którym zaczyna się wielkie wietrzenie i odkurzenie przed wieczornym spektaklem z niecałkiem gołymi dupami, kątem oka widzę darkroomy, z których dobywa się wypędzany zapach poppersów i płynów ustrojowych, niczym heliogabalowej świętej triady potu, spermy, krwi, widzę kasyno, z którego niczym wampiry rażone światłem dnia w popłochu czmychają ci, którzy sprzedali swoje i tak niewiele warte życia, widzę kwiaty na klombach w parku, między którymi niczym na torze gokartów poruszają się, jakby ścigając, matki z wózkami, a może wcale nie matki tylko zawodowe tylko z nazwy opiekunki z dalekiego, środkowego czy bliskiego wschodu, a może inne takie troskliwopodobne, potrafiące płakać i wrzeszczeć i dawać z cycka na zawołanie, nie matki i nie opiekunki ze wschodu, ale raczej kobiety (choć niekoniecznie), które dzieci sobie po prostu użyczyły, a teraz uzurpują sobie prawa do wózków oraz ich eterycznych choć wrzeszczących zawartości – tu jakby transmisja zewnętrznych wizji urwała się nagle, a po brodzie popłynęła krew z przygryzionych nerwo-wo warg, zamknął oczy: ktoś zerwał wszystkie kwiaty z klombu i płatkami wyłożył chodnik od wodewilu aż po kasyno. Otulony w kwiat maku, tak, otulony w kwiat maku, szczelnie owinięty po brzegi, opakowany, podesłany, podłożony, sprezentowany, nie! – wykradziony, jednej albo wszystkim, światu całemu wszystkich matek świata, szeptal skrajnie wycieńczony, choć przecież nie stało się nic, co tłumaczyć by mogło takie wypróżnienie z sił.

Właściwie nie wiemy, czy tam wszedł. Widziano zaledwie, że wszedł do samochodu, że przypatruje się podczas jazdy witrynom sklepów, siedliskom hazardu, wszelkich rozkoszy i wózkom z dziećmi. Może gramolił się mozolnie schodami i mknął przez pokoje, wszędzie szukając pretekstu, by się zatrzymać, by nie iść dalej, zwłaszcza, by nie wchodzić do salonu, gdzie gromadził się rodzinny trybunał. Zza dębowych drzwi, które trzasnęły nagle, słysząc było tylko matkę, ojca, ciotkę, ich niepokojący chórny trójęgłos, unoszący się w górę, jak by można z nim ulecieć, zrazu bełkotliwy i barytonowy na wysokości dywanów i komód, piskliwy i bardziej wyraźny w okolicach futryn, znów gaworzący przy suficie. Jego głos albo tkwił jeszcze w trzewiach, albo go tam nie było. A może poszedł do parku. Każdy upał ma swój dźwięk, nie powtórzy go żadna partytura, nie zagra żadna orkiestra, sycząca lepkość, wibrująca temperatura, strzelisty atak promieni słonecznych, burczące gęstnienie powietrza, i najbardziej naturalne w świecie dźwięki, ludzkie, w całym tym spektaklu jawiły się jako nieudane i przypadkowe, jakby pośród całej natury tylko on, człowiek, pozbawiony był słuchu. Oczy dawały przewagę, ale i gubiły, boleśnie gubiły. Eh.

Ona, zawsze jest przecież jakaś ona, nie rozumiała, jak mężczyzna mógłby tego pragnąć. Po prawdzie nie była także pewna, czy był jeszcze wciąż jej mężczyzną. Czy trzeba to w ogóle pisać, skoro i tak wszyscy tak zwanymi oczyma wyobraźni, widzą już kobietę zawiedzioną, stojącą w oknie z papierosem, pochłanianym jeden po drugim, w nieco przypocnym męskim podkoszulku, pożyczonym od niego, może przez lenistwo, może zepsutą pralkę albo przez odruchową atawistyczną chęć bycia bliżej niego, ciało w ciało, pot w pot, w chwili, gdy on tak bardzo się oddalał, nie tylko od niej, ale od wszystkiego, co znała i była w stanie pojąć. Zrozumiałaby, gdyby chodził na chłopców, ubierał kobiece ciuszki (sama by pożyczała), ale tego (tu chciała zaakcentować niewinny i bezbarwny zaimek z egzaltowanym przytupem, niczym jego ojciec, matka i ciotka, co brzmiałoby t e g o, może nawet T E G O, ale ingredient pretensjonalno-komiczny zaburzyłby jej myślny wywód, który zaplanowała jako jednoznacznie żaloso-jękliwy), żadną miarą nie potrafiła zrozumieć. Widziała, że jest nieszczęśliwy, że nie przestaje być mężczyzną, ale z mężczyzny-skały, staje się mężczyzną-okruszkiem, nie potrafiła jednak znaleźć wytłumaczenia, tak by móc oswoić to w sobie, a po obowiązkowym wyleczeniu w ciepłutkiej duchowej izolacie ulepić z tego jakiś współczujący gest, to tak jakby nakazać rozumieć komuś nieszczęście i ból bliźniego, wynikłe choćby z niemożności wylotu w kosmos fioletową (tylko i wyłącznie, broń Boże nie inną) rakieta i jedynie we wtorek... Takie abstrakcyjne przykłady, podsuwane jej przez wiatr targający jej włosami za oknem, zabijały intymność tego, co czuł on, a czego nie mogła poczuć ona, wyjałowiona zatem, była i nie była z nim, mężczyzną-okruszkiem, i kochać takiego nie mogła, i uderzyć także. Nałożyła sweter do kolan, odurzyła się szotem, psiknęła diorem, i poszła rozmówić się z jego rodziną, mając w kieszeniach zamiast miętówek poskręcane wątpliwości, bo kim właśnie dla nich jest. Eh.

Dzień wcześniej, późnym wieczorem, do jego drzwi zapukała staruszka, taka z końca korytarza, co to wiemy, że jest, ale nigdy nie mieliśmy sposobności, by przyjrzeć się jej twarzy i wysłuchać jej historii. Stała najpierw, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała w jakim języku, potem dostrzegł także, że spod niemodnej halki wystawały wyjątkowo grube pończochy, do których przykleiła się figlarnie i nieelegancko pielucha albo większy kawał ligniny, a jednak mimo rozstrajającego obrazka, miał w sobie wolę i moc (tak!), by dowiedzieć się, z czym przyszła. W końcu, zachęcona jego belferską cierpliwością, jakby chciał ośmielić do recytacji najmniej zdolne albo najbardziej zamknięte w sobie dziecko (po prawdzie tak trochę wyglądała, zwłaszcza przez spuszczoną głowę), wyjaśniła, że przyszła opowiedzieć mu sen i znowu zawisała jakby w powietrzu, nie na tyle jednak przezroczysta, by mógł zobaczyć płynące przez nią myśli. Przyjdź kiedy indziej – z trudem wyszeptwała, i bez uśmiechu, przygany, ale i zakłopotania, odwróciła się. Może niech pani przyjdzie jutro, halo, proszę pani, jutro? dobrze? – zaparzę herbatę, nie mam, co prawda, za dużo miejsca, ale dwa krzesła przy moim dziennym stoliku z pewnością się zmieszczą, a my na nich, a wtedy, jak tak sobie spokojnie usiądnie, opowie mi pani swój sen, na pewno

bardzo poruszający, proszę pani... Więc miała jakąś niepokojącą wizję, skoro przyszła, to albo chciała, bym pomógł jej ją odtworzyć i rozwikłać, albo wyśniony obraz dotyczył mnie, ale właściwie, dlaczego?, z drugiej albo trzeciej albo czwartej strony – czy tak zwana nieświadomość odpowiedziała komuś kiedykolwiek na nurtujące go pytania, zwłaszcza zaś przejrzyście, jasno, bez bełkotliwych naciąganych bajeczek przywleczonych z dzieciństwa albo alkowy. Sama z siebie dotuptała, czy ktoś ją wysłał, czy po to, by objawić prawdę, a może wprowadzić w błąd i zjechać razem ze mną i ze sterczącą pieluchą po ostrzu jakiegoś najgroźniejszego manowca. Czy, jak chrześcijańskie anioły, przynosiła tylko złe ab initio albo złe finalnie wiadomości, czy może jak wróżka z bajki zapowiedzieć chciała, po zarządzeniu obowiązkowej przebieganki, wielkiego triumfu i bogactwa i miłosnego uniesienia na wieki wieków... W tym śnie obowiązkowo pojawić się musiał jakiś mitycznopodobny dziwowiez, gest, który po przebudzeniu i ponownym wyleczeniu specjalnej leżanki u wielkiego znawcy i pomagacza mógł być jednoznacznie zinterpretowany jako podskórnie seksualny, ponadto mgła i woda, aż ich nadmiar, i on, ten sam, ale jednak jakiś niepoznawalny i nieprzystępny, jego mowa niepojęta, a potem także mizerny zewłok bożego światła jako znak otuchy; psychoanaliza, ta jeszcze z Wiednia, miała być lekarstwem dla biedaków, na skłębione, niedobre sny robotniczych dzielnic, na lęki hodowane jak wszy we frontowych lazaretach, ludzi gnieźdzących się w przytułkach, burdelach, dworcowych poczekalniach, taniutkich hotelikach, niechcianych żon, przeciwników politycznych, zalegających jak przemoczone sienniki w magazynach przepastnych psychuszek i leprozoriów całego świata, tych połamanych, niezaspokojonych i niezaspokajalnych, niemających żadnych precjozów, poza płaszczem czy kapeluszem czy gorsetem, a jednak tracących dzień po dniu wszystko, co mieli, tych niepoznających własnych snów i odbić w lustrze, dziś oszukańcze, niczym kabalistyczne rytuały z leżanki stały się znakiem rozpoznawczym świeżutkiej burżuazji – myślał o tym wszystkim, patrząc jak jej pachnący apteczką cień opuszcza powoli korytarz szpetnej kamienicy. Uznał, że w sytuacji swych narastających niepokojów tak zwana nieświadomość (tu akcentował, niemal cedził, jak ojciec, matka i ciotka) wysyłała mu zgola tandetne sygnały, choć do samego niespiesznego i małowadnego posłania od czuł nawet niejaka sympatię, licząc, że woń jutrzejszej herbaty, dobywająca się z filiżanek w jego mikrosamotni, otuli bezpiecznie jej senną opowieść, która miała się zdarzyć.

Kiedy spadające z nieba płatki kwiatów przylegają do wygłodniałych policzków, szybko tracą bajkową lekkość, zmieniając się w żelazną maskę. Drażniło go, że wszyscy wokół zachowują się tak, jakby mieli prawo, a jemu prawa odmawiali. Kobiety czują to coś w swoich ciałach, całymi sobą, to coś rozsmarowywane jest w nich od środka, bez ich woli, a nawet wiedzy, czują to w różnych częściach ciała, dotykają ich bez wstydu, kulą się, przeciągają, dla jednych jest w tym jedynie biologia, znów inne widzą w tym metafizykę, i stary, prawie tak stary co natura rytuał. Tak jest i już (w tej chwili drażniły go zatem dwa stany: owo P R A W O i owo J U Ż), dotyczy to zresztą

dokończenie na str. 16

I z maku...

dokończenie ze str. 15

nie tylko tych, które są do tego stworzone, bo i tych także, które tego nie chcą, i tego nie robią, wszystkie one bowiem mają w sobie szkielet, konstrukcję, p r e d y s p o z y c j ę, te ostatnie są przy tym jak wysoki budynek z windą, z której nigdy się nie skorzysta, ale ona jest, tkwi, uwidocznia się, trzeba ją nawet konserwować... Ale właściwie dlaczego nie mieliby tego mieć mężczyźni, dlaczego nie mieliby tego czuć, całym swoim ciałem, całym sobą, biologicznie, przede wszystkim jednak – z dala od jakiegokolwiek ożywionej fizyki. On tak chyba czuł, on tego potrzebował, zdecydowanie, na dziwny i tylko częściowo kobiecy sposób, bo kobiety w nim było tyle, ile w każdym, chciał móc demonstrować, że czuje to coś, że ma je w sobie, jakimś gestem, a nawet naocznym dopieszczaniem tego czegoś; za każdym razem, gdy obmyślał taki mim, odrzucał go po chwili jako groteskowy, źle wyglądający, obsceniczny, nie wiedział zatem, jak miałby o tym mówić, dzielić się tym..., powiedział jej, ale boleśnie go nie rozumiała. Z kolei ojciec, matka i ciotka, chcieli rozmawiać bardziej o kontekstach tego czegoś, on jednak był zmęczony, przede wszystkim tym, że nie mówiąc o tym, sam w końcu zaczyna wierzyć, że to coś złego, a skoro tak, że trzyma w sobie, chroni, ukrywa i – co gorsza – dokarmia bestję. Byłe osiedlowy pedzio albo transka z biedry mogą krzyczeć o swoich pragnieniach wszem i wobec – tak dogadywał pod nosem, bo wewnątrz było gorzej – myślał, że jego osobiste pragnienia, których nie mógł wypowiedzieć, są subtelniejszej natury, potem, patrząc w ekran na jakąś przyziemną nic niedającą debatę albo rozkwieconą hałaśliwą paradę, że łatwiej byłoby się dzisiaj przyznać wszem i wobec do postępującej schizofrenii czy skrajnej nawet brunatności niż do tego, co nosił w sobie, i wcale nie przesadzał.

Po co mówić, po co tymbardziej słuchać, skoro słowa oszalały, od samych posad, fundamentów, korzeni, przez łodygi do kwiecica, i z góry krzyczały szaleństwem na świat, wypływały całe tabuny zaraźliwych słownych obłędów – myślała ona, wychodząc – skulona w swetrze do kolan, pogodzona choć rozedrgana – od jego ojca, matki i ciotki, którzy chcieli już tylko, by ze słowami czy bez przyszedł po prostu do miejsca, które nazywali rodzinnym domem. Obmyślili nawet krótszą trasę do salonu, tak by nie musiał przechodzić przez średni pokój dzienny, ale on nie nadchodził, zapadł się bowiem w bezmiarze niczym niezapełnianych pustych przestrzeni wewnątrz siebie, w które wprowadzić chciał T O, czego pragnął tak bardzo, a czego wszyscy wokół tak bardzo się bali.

Staruszka nie przysłała, nie poznał zatem jej snu. Tego dnia kwiaty maku pękały w pąkach, po płatkach biegały oszołomione trutnie, wszędzie łapczywe mlaskanie, migawki kobiecych warg, lody ciekące po brodzie. Tak bardzo chciał urodzić dziecko, mieć je, ale nie jako ojciec, wychować je samotnie, po swojemu, kobietą być nie chciał, z kobietą być nie umiał. Więc był już w parku. Przetarł oczy, jakby na chwilę odeszło mu widzenie, zaraz potem ukradł dziecko z wózka i uciekł. ❖

Maria Balcer**Bez znieczulenia***Ewa*

No, mógłbyś się chociaż raz uśmiechnąć, zagadać do której z moich znajomych... przecież nie musisz z nimi konwersować nie wiadomo o czym, ale mógłbyś się choć trochę wysilić. Siedzisz taki nabzdyczony, błędzisz wzrokiem po sali, po suficie... przecież nie liczysz chyba much, zresztą, skąd one by się tutaj wzięły?! Marudziłeś już przed wyjściem - że zmęczony, że nie znasz prawie nikogo, że właśnie sobie przypominałeś o ważnym bilansie do przygotowania... Już ja cię doskonale znam, mój miły! Zmęczenie przeszłoby ci, jak ręką odjął, gdybyś się „zagadał” z facetem Matyldy, przy koniaczku, potem przerzuciłbyś się żarcikami, aż do niewybrednych – z moją szefową, potem spierałbyś się z jej mężem na temat polityki... z Markiem – w sprawach etyki zawodowej... z Jankiem o historię w Biblii... No, byłoby ciekawie, tyle, że to nie twoje święto... No, ale nie musisz tak ostentacyjnie milczeć! Wszyscy będą mieli cię za ostatniego gburę, więc nie patrz na mnie ze zdziwieniem, kiedy próbuję zatuszować niezręczności i gadam za dwoje. Niby taki nieobecny, a dobrze wiesz, co się dzieje obok – no, naprawdę o mało nas nie skompromitowałaś tym dziwnym chrząkaniem, kiedy Matyldzia wygłaszała swoje zasady żywieniowe, dobrze, że cię powstrzymałam lekkim depnięciem! No i nie musiałeś się upierać w sprawie krawata – „nie będę się wyróżniał, robiąc z siebie pajaca – po co ta gala, ty mi powiedz...”

O, znowu ostentacyjnie oglądasz sufit... jakbyś słuchał brzęczenia much!

Adam

I co ty chciałaś osiągnąć, ciągnąc mnie na ten bankiet? Jeśli ci się wydawało, że odpocznę, patrząc na twoje psiapsiółki, to się grubo (nomen omen) pomyliłaś... Sama widzisz – rewia mody, targowisko próżności, festiwal głupoty. Strzelasz oczkami na prawo i lewo, myślisz, że nie widzę, jak unosisz brew albo – ukradkiem – przewracasz oczami? Uśmiechasz się słodko, podziwiając czyjaś nową sukienkę, a widać, że ukradkiem, z błyskiem w oku rejestrujesz ponadnormatywne krągłości, których modny krój nie zamaskował. Śmiejesz się perliście, ubawiona opowiedzianym przez szefową sucharem, za którego powtarzanie chciałaś mnie zabić... Ze zrozumieniem kiwasz głową, przyznając rację Matyldzie, która twierdzi, że po siedemnastej niczego już nie jada – „Och, oczywiście, taka sytuacja towarzyska jak dzisiejszy wieczór jest wyjątkowa, grzeczność wymaga... ale na co dzień bardzo pilnuję tej zasady, dbam o formę i wagę, do czego i was zachęcam”. Dzielnie powstrzymujesz się od wtrącenia uwagi, że ten bankiet to już czwarte w tym tygodniu spotkanie towarzyskie i że rozsądniej byłoby zadbać o kondycję wagi łazienkowej... No i czemu tak bazyliżkowo patrzysz na mnie, kiedy wydaję nieartykułowany

dźwięk, czemu ukradkiem wbijasz mi obcas w stopę?!

Wydaje ci się, że nie widzę, jak taksujesz wzrokiem mój wygląd na tle innych mężów swoich żon? Szkoda, że nie obchodzi cię, jak mało zabawne jest gadanie z nimi na trzeźwo; nie dałaś sobie wytłumaczyć, że lepiej będzie pojechać taksówką – „Rozumiem, kochanie, że jesteś zmęczony, ale przecież w tej sytuacji i tak nie powinieneś pić, więc spokojnie możesz prowadzić”... A zmęczonemu prowadzi się świetnie! A ciekawe, czemu nie ty?! Ach, no przecież! Taka ważna okazja, taki sukces wymaga świętowania w towarzystwie wdowy clicquot...

Jaki miałeś cel, ciągnąc mnie tutaj? Bez znieczulenia?! Chciałaś, żebym nauczył się znosić sytuacje, kiedy w powodzi słów niewiele słyhać takich, które mają sens? I czemu się tak zdziwiłaś, kiedy wracając, ująłem w swoją (niepustą) rękę i serdecznie uściśnałem dłoń bezdomnego, który na opustoszałym, cichym parkingu przypomniał światu słowa filozofa: „Niebo gwiazdziście nade mną, prawo moralne we mnie”? ❖

Adam Michalak**Katyn**

Po pięciu dekadach
zadeptanych kłamstwem

autobus za autobusem do lasu
wjeżdżał po koleinach
wyściełanej wilgocią ciszy
w przesiekę zjeżoną ambonami

w grupach na przystanku
donikąd ponaglani kolbami
połstówkami rozglądają się

gałązki pod oficerkami
igłaste kołą oczy
w ojczystym żargonie
nie łatwo wskrzesić ducha
gdy się ma za plecami
związane ręce
i kata

widzisz jak kwietniowy chłód
czepia się obdartych
z człowieczeństwa mundurów

skuci miłością do ojczyzny
idą ramię przy ramieniu
salutują im drzewa
ptaki milkną na komendę
poły płaszczy
przeszukuje zbrodniczy rozkaz

zamarł czerwienią liści
rów zasypyany
sadzonymi świerków

Złamana ręka

Matka złamała rękę w piątek wieczorem, dokładniej mówiąc zaraz po dwudziestej, ale – jak to ona – nikomu nic nie powiedziała i ów fakt przemilczenia przez nią tak poważnego wypadku po raz kolejny skłonił mnie do refleksji nad matczynym charakterem i tym jej długim, dobrym życiem, przez które szła z łagodnym uśmiechem. Często próbowałem dociekać, jak taka egzystencja może się w ogóle udać i co takiego robiła, żeby zachować pogodę ducha nie tylko w obliczu codziennych, prozaicznych problemów, ale również w konfrontacji z prawdziwymi tragediami, których życie jej nie szczędziło. Bo byli w nim wielkie rozczarowania, zawody, upokorzenia i ciężkie choroby najbliższych. Jak wszędzie i u wszystkich. Była w końcu śmierć męża poprzedzona bolesną, ciągnącą się tygodniami agonią, kiedy to zrozpaczona matka szukała wszelkich możliwych sposobów przechytrzenia okrutnego losu i do końca wierzyła, że uda się wydobyć ciężko chorego z gęstniejącego mroku nieistnienia. Matka nigdy się nad sobą nie rozczulała, a jej wielka jak Mount Everest empatia nie pozostawiała wiele miejsca na własne potrzeby, których realizacja zawsze była odkładana na później, tak jak w nieskończoność odkładamy załatwienie jakiejś mało ważnej sprawy.

W sobotę zwyczajowo zadzwoniłem do niej o poranku ze standardowym: Co tam u ciebie?, na co odpowiedziała złowieszczo drżącym głosem: Nie za dobrze, Sławciu. Złamałam rękę. Z początku wcale nie zrozumiałem, co do mnie mówi, poprosiłem o powtórzenie, a potem natychmiast zacząłem, niejako automatycznie, podważać kategoryczność tego komunikatu sugerując, iż najprawdopodobniej ręka jest tylko mocno stłuczona, nie złamana. Matka słuchała spokojnie, co mnie zdeprymowało i przestałem gadać bzdury. Dobrze wiedziała, że to jest złamanie, bo cóż innego mogło spowodować tak potężną opuchliznę i zasinienie z wyraźnym przesunięciem kości? Później, już po jej powrocie do domu, widziałem zdjęcie zrobione zaraz przed interwencją lekarską. Przedramię wyglądało jak niechlujnie złożony model ręki do samodzielnego montażu. Pospieszenie ją uspokoiłem i zadzwoniłem do lekarza czyli do mojego starszego brata. Wysłuchał ponurych wieści ze spokojem, czym zawsze mi imponował, bo w podobnych sytuacjach nagłych niedomagań nigdy nie

wpadał w panikę. Już do niej jadę! – rzucił do słuchawki, czym od razu mnie uspokoił, ponieważ wiedziałem, że za chwilę uruchomi maszynę pomocy medycznej i najprawdopodobniej zabierze matkę do swojego szpitala, gdzie natychmiast się nią zajmą.

Zadzwonił po kilkunastu minutach z informacją, że ręka najpewniej jest jednak złamana i jadą do szpitala. W międzyczasie zjawiłem się w mieszkaniu matki, które *de facto* jest moim mieszkaniem i natychmiast wszystkimi zmysłami zanotowałem obecność niezwyklej pustki. Zaglądałem do wszystkich pomieszczeń, jakbym bawił się z matką w chowanego, a im dłużej szukałem, tym bardziej jej w mieszkaniu nie było. W końcu usiadłem na kanapie i popukałem się w czoło. Pomyślałem wtedy, że w końcu musiał nadejść taki moment – nieunikniona awaria sprawnie działającego od kilkudziesięciu lat mechanizmu. Cisza w mieszkaniu była przytłaczająca i żeby jakoś ją znieść, zacząłem sobie wyobrażać, że staruszka po prostu przysnęła w swoim pokoiku i nie należy jej budzić. Osoby w podeszłym wieku często zasypiają i nie ma w tym nic dziwnego. Pewnie zaraz się ocknie i chwiejnym krokiem wejdzie do pokoju z nieodłącznym pytaniem: Zrobić ci coś do jedzenia?

Nagle rozległ się przenikliwy sygnał archaicznego telefonu – dźwięk, który zawsze był dla mnie jak włamanie. Poderwałem się i gwałtownym ruchem wyjąłem słuchawkę z ładowarki. Dzwonił mój brat: Wieloodłamowe złamanie kości promieniowej z przemieszczeniem. – powiedział przyciszonym głosem. – Ręka już nastawiona. Jeszcze jedno prześwietlenie i wracamy. Odetchnąłem z ulgą, choć diagnoza brzmiała dość przerażająco i już od samego słuchania mogło człowieka coś rozboleć. Najważniejsze, że ominął matkę szpital, bo niczego tak się nie lękała jak pobytu w szpitalu. Pierwszy i ostatni raz była hospitalizowana jako nastolatka, a chodziło wtedy o banalne wycięcie wyrostka robaczkowego. W ogóle unikała lekarzy i tak się szczęśliwie złożyło, że w najbliższej rodzinie miała ich aż dwoje, więc zawsze mogła liczyć na natychmiastową pomoc. Nie nadużywała jednak tego przywileju, w czym była zupełnie niepodobna do niektórych starszych ludzi, którzy nierzadko traktują wizytę u lekarza jak remedium na nudę i rodzaj milej dystrykcji. Przychodnia to dla nich park rozrywki z

licznymi atrakcjami. U niej było odwrotnie – bagatelizowała potencjalnie niebezpieczne objawy i za nic w świecie nie chciała się zgodzić na żadne badania, a w czasie rozmów z innymi starszymi paniami jak ognia unikała tematów szpitalnych. Choć Bogiem a prawdą nigdy na nic poważnego się nie skarżyła i przypuszczałem, że musi to mieć związek z jej wyjątkowo optymistycznym usposobieniem. Każdy dzień był dla niej upominkiem, po który z chęcią wyciągała ręce. Nie żyła przeszłością, rzadko kiedy wybiegała myślą w odległą przyszłość. Nie snuła dalekosiężnych planów, które zwykle z czasem marnieją, a im są początkowo wspanialsze, tym żałośniej wyglądają ich resztki na końcu. Jej żywiołem zawsze była teraźniejszość, osobista religią codzienna krzątania, a humor tarczą chroniącą przed horrorami egzystencji. Lubiła dom, targ i kościół. Spacer bez celu był dla niej niezrozumiałą abstrakcją, bo niespecjalnie wiedziała, co zrobić z wolnym czasem. Na wakacjach czuła się jak na zesłaniu.

Coś mnie podkuśliło, żeby podejść do okna i w tej samej chwili zobaczyłem srebrną Toyotę brata parkującą przy altanie śmietnikowej. Zaraz potem wyskoczyła z auta bratowa i pomogła matce wysiąść. Po kilku minutach już wchodzili do przedpokoju. Staruszka uśmiechała się nieznacznie i był to uśmiech, który zawsze wdzięwała, kiedy nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. W końcu popatrzyła mi prosto w oczy i powiedziała: Widzisz, co się porobiło! Zaraz potem odzyskała rezon i próbowała się krzątać po swojemu, co natychmiast wywołało protesty mojej bratowej. Kiedy wreszcie wszyscy siedzieliśmy przy herbacie, matka mogła wreszcie opowiedzieć, jak doszło do wypadku, a jej relacja kolejny raz pokazała, z jakiego rodzaju osobą mieliśmy do czynienia. Przede wszystkim w toku śledztwa wyszło na jaw, że pechowy upadek zdarzył się nie w sobotę, ale w piątek wieczorem! Matka potknęła się o niewielki próg oddzielający przedpokój od kuchni i z całym impetem uderzyła ręką o szafkę. Nijak nie mogła się podnieść i kilka godzin przeleżała bezradna, aż w końcu, nabrawszy sił, przeczołgała się do dużego pokoju, gdzie, zamiast natychmiast zadzwonić po pomoc, obejrzała ostatnią debatę prezydencką, ciągle leżąc na podłodze! Kiwalimy z niedowierzaniem głowami. Po debacie zasnęła i dopiero w sobotę rano udało jej się jakoś spionizować, ale nawet wtedy nie zadzwoniła. Ale dlaczego? – zapytałem. Ze spokojem wyjaśniła, że wołała poczekać, aż brat z bratową zrobią cosobotnie zakupy w Lidlu, bo jej alarmistyczny telefon z pewnością pokrzyżowałby ich plany. Wymieniliśmy z bratem znaczące spojrzenia, ale powstrzymaliśmy się od komentarza. Matka po prostu taka była. Wszystkim chciała ułatwiać życie i litowała się nawet nad przydrożnym kamieniem.

Popatrzyłem na nią, kiedy siedziała przycupnięta na kanapie z ręką na temblaku. Dopiero wtedy dostrzegłem, jak drobna i krucha się zrobiła ostatnimi laty. Siwe włosy miała ciągle w nieładzie po niedawnych dramatycznych wydarzeniach, a w zapadniętych oczach tlił się jeszcze łęk. Siedzieliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu, aż nagle na jej twarzy zagościł ów łagodny uśmiech, za którym już tęskniliśmy. Od razu przyszedł mi na myśl widok słońca nieśmiało wyłaniającego się zza chmur. Zerknęła na nas z szelmowskim błyskiem w oczach i powiedziała: Muszę częściej coś sobie łamać, żeby widzieć was razem! ♦

**NOCLEGI
ŻNIN**
Stara
KAMIEDICA

5

ul. 700-lecia

tel. 602 242 061 • www.noclegiznin.eu

Aleksandra Więcek

a niech mnie

kurde blaszka!
ty mnie nie całujesz
i szaleję z przyzwoitości

słowo daję
a dałabym i usta

do diabła!
poszłabym z tobą
skraść trochę nieba

bo to co mam między żebrami
psiakrew! psiakość!
to zbyt mało

to nie tęczyowy most
to smętarz
gdzie
motyla noga!
i zaraz kolejna

ja cię chromolę!
chciałabym więcej
więc wyrrywam się
do licha! z tym wszystkim

i ty też chodź
a wszyscy święci
niech patrzą

Juliusz Wątroba

Odłot

Słońce się kisi jak korniszon skisłe
jakby w promienie wlał ktoś żółć i ocet
A pod nim chmury – dwie piersi obwisłe
ssie żrebak wiatru okryty mgły kocem

Z takiej zadumy w której wszystko błednie
jak w starej pannie zbyteczna kobiecość
wzlatujesz w tramwaj z biletu gołębiem
który kołuje nad miasta planetą

Dorota Czerwińska

Szczep

scalona w jeden kołtun przez wszystkie miotły świata
wypełzła spod dywanu z wymiętą smarkatką
i dać się skończywszy usilnie dęła
aż wywiało wszystkie muchy z nosa
gruszki z popiołu
i motyle
z brzuchów oczywiście i stereo
typowo
wszyscy poczuli wenę
ale nie sposób jej było
zaszczepić

Maciej Porzycki

Apokryf

Zamęczano go
aby okazał
dowód osobisty

a że miał rany
otwarcie na przekór
to spojrzenie

jak w piasku
zakochują się
krople krwi

Dośrodkowanie

A niech się schowają
środki czystości

katecheta draży
zaczyna kwerendę

od przepołowienia
kawałka mydła

Biały Jeleń

Marek S.Podborski

Papa

- Witaj papciu!
mówiła koronkowa dziewczynka
do prawego papcia
śpiącego przy łóżku

A słysząc to lewy papeć
modlił się do kurzu
o biegu nowość
zamiany

IRONIE

Michał Piechutowski

...śmy

Byliśmy młodzi
Byliśmy naiwni
Byliśmy zbuntowani
Byliśmy
Teraz jesteście
Każdy kimś innym
Ubezpieczenia
Architektura
Bankowość
Jeden kumpel został celnikiem
Inny - grzesznikiem
Teraz z dwoma ostatnimi
Do stołu zasiada Chrystus
O innych nic nie wiadomo
Może są zbyt prawi

Michał Piechutowski

Głupi sen

Ciągle ten sam
W różnych wariantach
Rozmawiamy

Tęsknię za tym
Jak bułhakowski Piłat
Po śmierci Jezuy Ha-Nocri

Pozostał mi tylko on
Bo przez lata
Prześląłem goryczą

Ty obojętnością
I teraz drugie natury
Kneblują nam usta

Juliusz Wątroba

Morze

Dzisiaj w naszym wszechświecie comiesięczne cuda
gdy srebrników wypłatę (też mała) zagarniasz
Całuję cię zdradziecko niczym pijany Judasz
A ponad nami dynda wisielec – latarnia

Klnę jak szewc przy kopycie (wyszło szydło z worka)
Za siódmym morzem znika tkliwość czułość skrucha
Ech – życie życie życie
Samo życie
Jasna krew mnie zalewa jak rzeźnika jucha

Ta powszedniość przytłacza
Wypływały słowa
Twój język - kołowrotek przedzie myśli drętwe
Opiekunko żonatych bezpiecznie mnie prowadź
poprzez odmęty morza które zwą małżeństwem

Jacek Jaszczyk**List z emigracji LXXV**

1.
Trawa dotyka obroży charta angielskiego:
tak zaszczekać aż wapienne linie rozwiążą horyzont
dalej od siebie, bliżej od najdalej.
Światło jak dron drętwieje nad brzegiem,
na którym konie na kopytach z gliny
wypasają swoje wątle cienie.
2.
Melodia przenosi się w pancerzach owadów,
a potem w smsach wysyłanych w kosmos
jak kod, który próbuje zamienić samotność w sygnał:
oto wszechświat w refrenie hip-hopu spłaszczył ziemię.
Odwrócić rzeki i jeziora niech dno oceanu stanie się
wyrwą w słowach potrafiących unieść alfabet.
3.
Zrywam szczaw myląc go z mleczem,
przegryzanym ośmi walczącej o każdą łuskę belony,
skaczącej nad wodą jak morska igła,
zszywająca ból szumiących linii przypływu.
Sól nie goi lecz zapamiętuje treścią litery
kształtnej i obcej, jak zamieć pod miotłą huraganu.

Piotr Nessel**Chevalier**

ciężkie słońce zachodu Jerozolimy
na zbrojach kawalerów mieczowych
oślepił mnie zachwyt i za to jestem wdzięczny teraz
kiedy siedzę pod bramą kościoła świętego Hieronima
w lepkiej kałuży końca i czekam na nią
która jest tylko początkiem i końcem nicości

niewiele pamiętam może to tylko
że nikt nigdy nie powiedział mi
musiało być ci ciężko z tym
ciężko jak z brzemieniem
pustki świata na powiekach
moje oczy są suche wyschnięte od lat
choć czuję w nich zawsze
drobne ziarenka pustyni
drobinki potłuczonego szkła
szczęśliwych dni
które nie wydarzyły się nigdy

wszystko co mam
co miałem nosiło
nieusuwalne piętno
niewystarczalności
byłem tym kim byłem
nie przez to co się w moim życiu
wydarzyło lecz przez to
co się w nim nie stało

podążałem zawsze za tą widmową postacią
której zarys widziałem na horyzoncie
i której tu i teraz byłem tylko cieniem
moje niespełnienie przypominało mi
o tym kim naprawdę jestem

jeśli ktoś zechce teraz otworzyć
mieczem moją głowę
popłynie z niej bardzo ciemna krew
i niewiarygodnie czyste światło

głęboko wewnątrz mojego umysłu
istniała otchłań tożsama
z otchłanią istnienia
i nic tego nie wytłumaczy
i nie wydarzy się już nic
nawet cisza ta materia sacrum

Krzysztof T.Konecki**Krew**

Krwi święta
Nie przelewaj się
W nieskończoność
Pozostań
W ampułce
Zamkniętej

Nie wypływaj
Nie rozplwaj
Nie rozmazuj
Swej miłości
do Niego
Nadaremno

Krwi mi dajcie
Do życia
Nie na pokaz
Dla gawiedzi
Brawa bijącej
Modlitwę udającej

Krew
Farba do malowania
Obrazu nikczemnego
Zakłamanego
Ja idę obrysem
Ramy

Tam granica

Na czerwono wnika
W płótno
Wyrasta drzewo
Purpurowe

Latem gorącym
Będzie spalone
Ja razem z nim

Popiół z Wezuwiusza
Forma nie do podrobienia

Paweł Nessel**Bezbrzeżne Morze Sargasowe**

popołudnie lekko faluje
pod powiekami unosi nas
ciepły płytki prąd zatokowy

życie jak zrośnięte ze mną
amorficzne zwierzę
którego wyczuwalny puls
jest różny od mojego
ułożyło się obok i prawie usnęło

jeszcze jeden powiew popołudnia
znad zatoki przynosi
niewiarygodnie gładkie kolory dotyku

na wietrze spalony słońcem
kosmyk twoich blond włosów
na tle ciemnoniebieskiego morza

i jest tak jakby nic nie było
jeszcze przesądzone

nieunikniony bieg zdarzeń

nieprawdopodobny błąd prawdy
w kwestii mojego istnienia

a nawet eksplodujące kolory
zachodzącego nad nami czasu

zanurzam się w głąb pisma
którego nikt nie rozumie
dla mnie świat zawsze
będzie miał inną postać
zamieniam się w siebie
brnę głębiej w zagadkę czasu

prowadzę ciszę z niepojętym

Robert Drobysz**Chrzest Węgier**

Mam na imię Vajko
jutro nazwę się Stefanem
synem Arpada

starych bogów schowam
w szalasyce przyjmę
krzyż papieski
obronię pusztę zawiążę supłem
zamek i twierdzę
błogosławiąc prawicą
będę chronił dzieci Arpada
między Cisą a Dunajem

Nadeszły poetki

Uwaga mężczyźni, poetki się nie skradają. Weszły głównym wejściem – z tomikami pod pachami i nagrodami w rękach. Mówienie o „poezji kobiecej” to od dawna faux pas. Mój felieton „Kobieta w wierszu, kobieta jako wiersz” [„Akant” nr 3/2026] domaga się dalszego ciągu...

Jeszcze kilkanaście lat temu obecność poetek nie była tak wyraźnie widoczna. Oczywiście wiele kobiet wspinało się na Olimp, ale raczej jako towarzyszkę bogów, a nie boginie. Wystarczy prześledzić ostatnie lata polskiej poezji: debiuty, nominacje, festiwale, obecność w czasopiśmie literackich. Coraz wyraźniej widać, że zmieniły się proporcje. Kobiety nie stanowią już od dawna „bocznego nurtu” – coraz częściej tworzą nurt główny. Nie chodzi zresztą wyłącznie o liczby. Zmiana dotyczy tonu, tematu i sposobu budowania podmiotu. Przez znaczną część XX wieku polska poezja kształtowała się w cieniu wielkich historycznych doświadczeń. Wojna, emigracja, totalitaryzm, odpowiedzialność intelektualisty – to były osie, wokół których organizował się język wiersza. Podmiot często przemawiał w imieniu wspólnoty, narodu, pokolenia. Nawet jeśli mówił szeptem, jego głos niósł ciężar reprezentacji. W tamtym modelu męskie doświadczenie bywało utożsamiane z doświadczeniem uniwersalnym. Nie dlatego, że kobiety nie pisały, lecz dlatego, że to mężczyźni

częściej stawali się figurami „sumienia epoki” czy „świadka historii”. Ich perspektywa była przezroczysta – nie wymagała dopowiedzeń.

Współczesność przyniosła pęknięcie tego porządku. Wielkie narracje osłabły, wspólnotowe tonacje ustąpiły miejsca mikrohistoriom. Zamiast mówić „w imieniu”, coraz częściej mówi się „z wnętrza”. Zamiast reprezentować, opowiada się o własnym doświadczeniu – fragmentarycznym, cielesnym, uwikłanym w codzienność. W tej przestrzeni kobiecy głos nie jest już uzupełnieniem ani kontrapunktem. Stał się jednym z głównych instrumentów orkiestry. Wiersz staje się miejscem, gdzie można jednocześnie mówić o dziecku i o państwie, o pracy i o języku, o relacji i o przemocy symbolicznej. Prywatne przestaje być przeciwieństwem publicznego – staje się jego najbardziej wiarygodną formą.

Warto zadać jeszcze jedno pytanie: czy wraz ze zmianą proporcji autorów zmienia się sam idiom poezji? Nie chodzi o proste przeciwstawienie „języka kobiet” i „języka mężczyzn”, lecz o to, czy inny rozkład doświadczeń wpływa na sposób budowania metafory, podmiotu i relacji między prywatnym a publicznym. Być może nie mamy do czynienia z różnicą płciową w sensie stylistycznym, lecz z przesunięciem akcentów, które czyni język mniej przezroczystym, bardziej świadomym własnej sytuacyjności.

A mężczyźni? Czy rzeczywiście wycofują się z poezji? Czy ich obecność słabnie? A może to tylko złudzenie wynikające z przyzwyczajenia do dawnej dominacji? Być może jesteśmy świadkami nie tyle odwrotu, ile zmiany warunków gry. Przez dziesięciolecia męski podmiot nie musiał definiować swojej pozycji – była ona oczywista. Dziś oczywistości znikają. Współczesny mężczyzna funkcjonuje w świecie, w którym role społeczne podlegają nieustannej renegotiacji. Autorytet nie jest dany z góry, trzeba go uzasadniać. Wrażliwość nie jest dodatkiem do tożsamości – staje się jej centrum. Może właśnie dlatego część męskich głosów brzmi ciszej. Nie z braku tematów, lecz z powodu braku gotowego języka. Pisanie bez oparcia w dawnym modelu uniwersalności wymaga innej odwagi. Trzeba mówić nie jako „człowiek w ogóle”, lecz jako ktoś konkretny – z określonym doświadczeniem, ograniczeniami, historią.

Jest też możliwość mniej dramatyczna. Być może niczego nie tracimy, a jedynie przestajemy mylić proporcję z prawem natury. To, co przez dekady wydawało się normą, było po prostu historycznym układem sił. Literatura, podobnie jak społeczeństwo, podlega zmianom. Gdy zmienia się struktura życia – edukacja, rynek pracy, relacje społeczne – zmienia się również struktura głosu. Dzisiejsza poetka nie musi walczyć o prawo do mówienia. Mówi: o ciele i ekonomii, o opiece i polityce, o pamięci rodzinnej i języku mediów. Jej wiersz nie prosi o zgodę. Jest świadomy swojego miejsca.

Nadeszły poetki. Nie jako fala, która ma coś zalać. Nie jako rewanż historii. Raczej jako znak, że poezja przestała być przestrzenią jednolitego tonu. To, co kiedyś uchodziło za centrum, staje się jednym z wielu punktów odniesienia. Jeśli coś się kończy, to nie obecność mężczyzn w literaturze, lecz komfort bycia niewidzialną normą. A utrata komfortu bywa twórcza. Zmusza do uważności, do namysłu nad własnym językiem, do rezygnacji z pozycji oczywistej.

Poezja XX wieku uczyła odpowiedzialności za słowo wobec historii. Być może poezja XXI wieku uczy odpowiedzialności wobec różnorodności doświadczeń. W tej lekcji nie ma przegranych. Są tylko ci, którzy zechcą podjąć wysiłek mówienia w świecie bez uprzywilejowanego centrum. ♦



„TĘCZOWY ZAKĄTEK”

NOWOCZESNE OSIEDLE ZBUDOWANE NA BAZIE
PONAD 30 LETNIEGO DOŚWIADCZENIA.
UL. FILTROVA NA CZYŻKÓWKU W BYDGOSZCZY

SPRZEDAŻ MIESZKAŃ

☎ 604239030 ☎ 571338880

sim.bydgoszcz.pl

Droloff
Przewozy krajowe i zagraniczne

Przewozy krajowe i zagraniczne

- ☐ przewozy krajowe i zagraniczne
- ☐ wyjazdy turystyczne
- ☐ zorganizowane wyjazdy narciarskie
- ☐ przewozy pielgrzymów
- ☐ obsługa zawodów sportowych
- ☐ obsługa wyjazdów służbowych
- ☐ obsługa wyjazdów rekreacyjnych

ul. Broniewskiego 38/12, 87-100 Toruń
tel. 56 686 05 05, 604 282 235
www.droloff.com.pl

Wyszedł Jezus do parku (apokryf plebejski)

Wyszedł Jezus do parku o szesnastej dwadzieścia,
na gałązce wróbelek ćwierkał zawieszony.
Wąski tunel podobno wiedzie z Ziemi do Nieba,
u wylotu jasnym blaskiem rozświetlony.

Usiadł Jezus na ławce przy zmurszałym pijaku
przelamali się równo papierosem Klubowym,
rozmawiali o wszystkim, przyglądali się ptakom
i panienkom w berecikach moherowych.

Potem bili Jezusa chłopcy w krótkich skafandrach,
szło o trochę mamony na podparcie żywota,
Magdalena miejscowa twarz mu z błota otarła
I pieściła na wezbranych bibelotach.

„Nietutejszy? - policjant długo szperał latarką
w dokumentach niebieskich i spode łba go mierzył
„Jezus Chrystus?” - powiadasz - „Imię ojca i matki!”
W końcu puścił go wolno, ale nie uwierzył.

Wóz Heliosa na wschodzie właśnie chmury przecierał,
zimno lazło za kołnierz, palce w butach kostniały.
Jezus chodził po parku i butelki wybierał,
które chłopcy w skafandrach pogubili wśród trawy.

Kiedy był już w tunelu, który wiedzie do nieba,
zdążył jeszcze przez moment dostrzec Janka małego,
który co dzień mniej więcej o tej porze przybiegał
po te puste butelki uzbierane dla niego.

Gipsowy Chrystus

nadotypany
naobmacywany
(jakby mu przez to
więcej ran przybyło)
wisi w pustym kościele
gipsowy
Chrystus Pan
wisi sobie samotnie
po niedzielnej ofierze
owinięty w pacierze
na drewnianym krzyżu
przy oknie

wisi tak długo
póki jasne słońce
ubiera w złoto
jego świętą głowę
i ciało jego święte
wielkie i niepojęte
gipsowe

wisi dopóki za kościelne progi
z ostatnią prośbą nie uleci dzień
póki nie zmorzy sprawiedliwy sen
tych co mu rano całowali nogi

lecz gdy się głucho zewrą ciężkie wrota
i gdy noc smołą powlecze ołtarze
nagle się usta wykrzywiają z bólu
kruszy się złotej aureoli krąg
pękają ściągna naprężonych rąk
i żołdak żółt podaje mówiąc:
wypij - Królu

Pół gwiazd

z tej łodzi nie będziecie chłodnych gwiazd dobywać
nie taki bowiem pół gwiazd jest wam zapisany
drogi dawno przebyte przyjdzie wam odkrywać
i mak oddzielać z piasku w domu obłąkanych

już was zdobić zaczęły wojownicze chusty
już się śmiałej wyprawy zręby poczynają
już się modlą żeglarze do ołtarzy pustych
rozkazano zapomnieć – więc zapominają

trzeszczą wręgi już łodzie zeszyły w morze gniewne
wiosła toną w otchłani już sieć zarzucona
na te gwiazdy chcą płynąć co łuki podniebne
oświetlają przybyszom z obolem Charona

na te gwiazdy chcą płynąć co z nastaniem świtu
pętla sieci nawiedzą i przerwą wiązania
woda w nicość poniesie złom olinowania
topiel wiosła pochłonie senne od błękitu

bo na próżno w tym morzu najprzedniejsze sieci
zastawiacie na obłok ulotny choć krwawy
Piotr się właśnie Chrystusa zaparł po raz trzeci
i Chrystus po raz trzeci uniknął obławy

Korespondencja**I**

W moim życiu, co się jeszcze niezupełnie skończyło,
było miejsce na obłok i miejsce na ołów,
Tylko wiary zabrakło, tylko wiary nie było,
Za daleko stąd dzisiaj do Twojego stołu.

Postąpiwszy w szeregi wędrownych złoczyńców,
Gdy mi serce i rozum z nagłą odebrało,
Rozrąbałem Twe Ciało na leśnym gościńcu
Jak by Ci jeszcze rzymskiej włóczni było mało.

Teraz gdy mi kamieniem odplącono Panie,
Gdy mi w oczy zaczyna zaglądać noc długa,
Ostatnie w moim życiu stawiam Ci pytanie
Czy możesz mi wybaczyć?

Niegodziwy Sługa

II

Bądź spokojny, na Twoje przyjęcie tu u nas
Już od dawna się wszyscy weselimy społem.
Nie zabraknie na łożu niebieskiego runa,
Masz tu chleba dostatek i miejsce za stołem.

Jeszcze nieraz się pewnie ode mnie odwrócisz,
Wiem jak smutne bywają wędrowki człowieka,
Jeszcze nieraz mi w oczy groźną kłatwę rzucisz,
Tutaj wszystko gotowe – przychodź – będę czekać.

Co zaś tyczy się mego na owej rubieży
Ciała, w któreś wbił ostrze swojego sztyletu,
Wybaczyłem Ci w chwili, kiedyś mnie uderzył
Było to chyba w piątek...?

Jezus z Nazaretu

Rafał Gawron

Dzień na sezon

Rzeźnik bez twarzy podobny do nikogo
prowadzi owieczki białutkie baranki
malowaną łąką pośród jabłoni

tęcza błyszczy ostrzem nad lasem
szumią trawy i liście
uśmiechają się kwiaty
widok jak z obrazu Holendra

zmierzają do szarej stodoły
wyciąg zaciera liny
pracują stoły czeka wanna
na krem z krwi i łyż białej
płacz już słyszać zanika beczenie

powietrze przecina błysk
ląduje w podgardle punktowo
głowa opada położona poduszka
dno ścieli krwisty płaszcz
przykrywa się warstwą po warstwie
poduszka po poduszce ścieka puch

ślizgają się stopy i ręce
twarz lśni pełną parą
buch
buch
buch
pot nie ma czasu tu zostać
kap
kap
kap
ostatnia ze sztuk zamyka zegar
na dziś wystarczy resztę zmielimy
jutro

idę do dzieci ułożyć spać
muszę przytulić zawsze czekają
jutro po kościele kończymy
wędzimy i trzeba rozdać ludziom
oni też czekają

Rafał Gawron

Martwy człowiek suka i kot

dziś usłyszałem że mój los
los kota to przecież to samo
że świnia to też człowiek a co dopiero tygrys
los trzydziestu dziewięciu Wietnamczyków spadł z ekranu
szybciej niż przyjechała karetka zabrać ludzkie szczątki
zamarznęte na stal zwłoki
przestały płonąć lasy amazonki
płoną wysypiska w Polsce z zagraniczną metką
spalają się komórki
dziewuchy bo już mogą tak mówić
pisać o kobiecie cytując tęsknią za mną
na wzór i podobieństwo suki

Paweł Rafał Kuś

Pisklę wypada z gniazda
kot bawi się myszą
dzieciaki palą mrowisko
krzyczą pisklęta
myszy i mrówki
w cynicznym uśmiechu
wykrzywiają się
pory roku
koty
i dzieci.

Grzegorz Borowiec

Prawa wiejskie

Za zjedzenie kury
która przypadkiem wpadła do obory
świnie dostały razy na skórę
oraz związane pyski
sznurkiem od snopowiązałki

Suka za liczne porody
otrzymała utopione dzieci
z jednym żywym bo zwolniło się
miejsce w łańcuchowym stadzie

Zwolniło się bo jeden
zaatakował młodego brojlera
i zgodnie z prawem rady rolników
stracono go przez powieszenie

Marek Bocian

do huśtania nóżek

głupie ludzie
homo sapie
kury głupie
żaby dmuchane
świnie ubite
wróble schwyte
króliki obdarte
skład Grzelowej
obrabowany
z czekolady
dawne wiejskie
wakacje

Paweł Rafał Kuś

bez mięsa

Najpierw mnie umyć
potem obierz
bij mnie kijem
po głowie
poraż mnie prądem
zrób lobotomię
chcę być idiotą
chcę być przygłupem
w końcu
warzywem na wózku
obiadem
z dostawą do domu
udowodniłście
że jestem mniej warty
niż życie świni
mam być lunchem brunczem
sałatką warzywną
zrób zdjęcie telefonem
i wrzuc w internet
dzięki mnie będziesz fit
sam umyłem miskę
na której mnie podadzą
ja swój los przyjmuję
powiem tylko
w imieniu swoim
i tych co byli przede mną
w porządku stać nas na to
ale myślcie dalej
że zjedliście posiłek
i żadne zwierzę
nie ucierpiało.

Norbert Budzyński

Pozór estetyczny

Urodziła w koszyku na fasolę
przeżyły dwa z pięciu
Wcześniej faktycznie była tam fasola

Na początku nosili w nim święconkę
też nie pomogło

Michał Piechutowski

Prawo karmy

Świńskie tusze o bezmyślnych mordach
Ostemplowane na całych ciałach
Jakby przeszły kontrolę weterynaryjną
Ulubione motywy pajęczyna czaszka
Skorpion imiona miotu barwy klubu
Polska Walcząca i Mały Powstaniec
Żrą golonkę z grilla chleją litry piwa
Draż rye w galeriach handlowych
Ich polszczyzna to chuj kurwa cwel
Zajebicie spierdalać i zastrane
Związkami frazeologicznymi z powyższych
Potrafią wyrazić cały wachlarz uczuć
Od zachwyty po dezaprobatę
Zawsze głośno zawsze agresywnie
Kiedyś mój znajomy wierzący w reinkarnację
Stwierdził że tacy wśród ludzi są od niedawna
Ciekawe jakie mieli zasługi w chlewach
Że awansowali aż do obecnej postaci

Bursztyn

Weszli do sali jadalnej malborskiego zamku, gdzie Kaja natychmiast ciężko klapnęła na brzegu jednej z długich ław ciągnących się pod ścianami. Wszyscy byli już zmęczeni całodziennym zwiedzaniem. Podszedł do niej i chciał usiąść obok.

- Posuń się troszkę. – poprosił łagodnie.

Dziewczynka zmrzyła oczy i popatrzyła na niego z drwiną w spojrzeniu. Nie ruszyła się nawet o milimetr. Poczł jak znowu wzbiera w nim wściekłość podobna do nadciągającej fali wymiotów, której nijak nie można zatrzymać. Ostatnio nauczył się to blokować, nie dawał poznać, że się w nim gotuje, ale mimo to od czasu do czasu wybijało.

- Prosiłem o coś! – wycodził przez zęby.

Żadnej reakcji. Kaja wpatrywała się w niego z satysfakcją.

- Jesteś krnąbrnym, rozpaskudzoną bachorem! – wyrzucił z siebie i natychmiast pożałował tych słów. Klecone tygodniami wątle porozumienie z tą nastolatką w jednej chwili rozpadło się jak domek z kart. Kolejny raz.

Do sali weszła Hanka ze starszą córką i natychmiast wyczuła napięcie między nimi.

- Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona. Nie znosiła, kiedy się kłócili.

- Nie chce się przesunąć. – powiedział beznadziejnie.

- Kaja! Zrób trochę miejsca Robertowi! – zaapelowała, ale bezskutecznie.

Dziewczynka znowu postanowiła postawić na swoim. Najczęściej jej się udawało.

Stali nad nią beznadzi. Pola usiadła pod przeciwległą ścianą sali i z dystansu patrzyła na rozgrywaną się scenę. W końcu uparta dziewczynka niechętnie wstała i usiadła na innej ławie, w dużym oddaleniu. Hanka popatrzyła na Roberta z wyrzutem. Nic nie odpowiedział, bo co miał mówić? Wszystko było widać jak na dłoni: jego codzienną irytację, te nieskuteczne próby nawiązania przyjaznych relacji z nastolatką i jej niechęć do niego. A już wydawało się, że od pewnego czasu jest lepiej – Kaja nawet kilka razy pocałowała go w policzek, potrafili porozmawiać bez złośliwości, zabrał ją na lody, ale wiedział, że następna awantura jest tylko kwestią czasu. Dziewczynka nie uznawała żadnych zasad i reguł, które próbował narzucić. Sam od zawsze wiodł uporządkowane życie i domowy chaos, w jakim teraz się znalazł, był dla niego nowością. Za wszelką cenę próbował go okiełznać, ale po prostu mu nie wychodziło.

- Ona potrzebuje dużo miłości. – powiedziała mu niedawno Hanka.

- Ale samą miłością nie wychowasz dziecka. – odrzekł.

Sytuacja się komplikowała. Jego życiowa partnerka coraz częściej dawała wyraz swojemu niepokojowi i widać było, że zamartwia się o przyszłość ich związku, który najwyraźniej w świecie mógł nie wytrzymać tych ciągłych animozji.

Zwiedzanie zamku trwało w nieskończoność. Przewornie trzymał się z dala od Kai, żeby w żaden sposób nie pogorszyć swojej sytuacji. Kiedy mówiła coś prowokacyjnego, po prostu mocniej zaciskał usta i odchodził. Wtedy ona czasem leciała za nim, blokowała mu drogę swoim masywnym ciałem i głośno śmiała mu się prosto w twarz. Na szczęście w zamkowej

restauracji, do której poszli na obiad, zajęła się dziewczynką starsza siostra, więc mógł odejść. Hanka siedziała milcząca i wiedział, że znowu jest zaniepokojona narastającą wrogością między nią a Kają.

- Marudo, zagrasz ze mną? – usłyszał nagle głos dziewczynki, który wyrwał go z ponurych rozmyślań.

- Jasne! – odpowiedział z nieco sztucznym entuzjazmem.

Kaja położyła przed nim telefon. Zagrali w kółko i krzyżyk, czego nie znosił, bo gra wydawała mu się prymitywna i za każdym razem kończyła się remisem. Teraz jednak za wszelką cenę chciał zaskarbić sobie jej przychyłność, więc udawał zaangażowanie. Nastolatka miała dobry refleks, wystrzony godzinami spędzonymi przed ekranem komputera. Postanowił trochę poprzegrywać, żeby sprawić jej radość. Takie małe sukcesy bardzo ją radowały.

- Skucha! – wykrzyknęła, kiedy popełnił błąd i mogła utworzyć rząd trzech kółek.

Dla postronnej osoby byłoby jasne, że się podłożył, ale dziewczynka była rozbrajająco naiwna.

- Ale ze mnie fujara! – przyznał.

Grali do pojawienia się kelnerki z talerzami. Robert czasem wygrywał, żeby nadać sytuacji znamiona prawdopodobieństwa. Po przyniesieniu jedzenia, przy stole bynajmniej nie zapanowała cisza. Kaja siorbała rosół i co jakiś czas wyciągała drobinę zielonej pietruszki z głośnym:

- Blee! Fuuuu!

Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach podnosili wtedy głowy i kiwali z niedowierzaniem. Po skończonym posiłku wszyscy chcieli już jak najszybciej znaleźć się w aucie, bo na dziś zaplanowali jeszcze lody i spacer po plaży. Jechali do pensjonatu ponad godzinę. Prowadziła Hanka, a Robert siedział z ponurą miną tłumiąc irytację, bo Kaja przez cały czas grała w hałaśliwą elektroniczną grę przypominającą Game Boya. W pewnej chwili nie wytrzymał, odwrócił się i popatrzył na nią z furją w oczach.

- Ścisż to! – zasyczał.

Dziewczynka wytrzymał jego spojrzenie i zwiększyła siłę głosu.

- Powiedz jej coś. – beznadziejnie Robert zwrócił się do Hanki.

- Mam was dosyć. – zamruczała, wpatrując się we wstęgę szosy znikającą pod maską Lexusa. – Kaja, ciszej.

Po powrocie od razu poszli na plażę. Idąc promenadą, przystawali przy niezliczonych straganach i automatach z kulkami, bo Kaja uwielbiała wszelkie malutkie zabawki i miała ich pełne kieszenie. Potem wszyscy zatrzymali się obok stoiska z bursztynami. Wyeksponowano tam różnych wielkości naszyjniki i najrozmaitsze bransoletki. Były też bursztyny luzem. Dziewczynka brała je do ręki i zafascynowana delikatnie dotykała ich gładkich powierzchni.

- A wiesz, co to jest bursztyn? – zapytał ją niespodziewanie.

- Kamień. – odpowiedziała bez namysłu, nie podnosząc na niego wzroku.

- Nie. To kopalna żywica sprzed milionów lat.

Dziewczynka spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- I wyobraź sobie, – ciągnął – że czasem, ale bardzo rzadko, można w bursztynie znaleźć skamieniałe organizmy: owady, pająki czy fragmenty roślin. To są tak zwane inkluzje.

Przerwał, bo zdał sobie sprawę, że wpada w mentorski ton.

Kaja milczała przez kilka minut, jakby potrzebowała czasu, żeby przyswoić sobie to, co powiedział.

- Chciałabym kiedyś znaleźć bursztyn... – odezwała się w końcu szeptem.

Spojrzał na nią baczny wzrokiem. W tej chwili wydała mu się jakaś inna – łagodna i bezbronna. Niemał się rozczulił.

- Idziemy na plażę! – usłyszeli stanowczy głos Hanki i czar przysł.

Ruszyły wolnym krokiem, a on został jeszcze przy straganie. Wziął do ręki największą bryłkę bursztynu, uniósł ją do oczu i spojrzał w żółtopomarańczowe wnętrze. I właśnie wtedy poczuł, że za wszelką cenę chce uszczęśliwić Kają. Naraz wydała mu się po prostu zagubionym, zdezorientowanym dzieckiem, w życiu którego pojawił się obcy mężczyzna. Ów uzurpator zajął miejsce ojca, ale przecież nim nie był i nigdy nie będzie. Przytulał matkę, mówił do niej *kotku*, a ona oddawała mu czas, który mogła poświęcić swojej córce...

- Ile za ten największy? – zapytał handlarza.

- Trzysta.

Nie zastanawiał się nawet przez chwilę.

- Poproszę.

Sprzedawca sięgnął po torebkę.

- Niech pan nie daje mi żadnej torby. – uprzedził go Robert. – Wezmę do kieszeni.

- Jak pan sobie życzy.

Podał trzy banknoty i schował bryłkę do kieszeni. Przyjemnie ciążyła i była chłodna w dotyku. Ruszył w kierunku plaży, od razu przyspieszając kroku, bo Hanka już wtopiła się w tłum spacerowiczów. Minał strefę gastronomiczną i ostatnie pensjonaty, aż w końcu zobaczył nieco wzburzone morze i trzy znajome postaci mozolnie brnące przez piasek w kierunku wody. Przez moment rozważał, czy zdjąć buty, ale było chłodnawo, więc się nie zdecydował. Kaja wyprzedziła nieco matkę i Polę. Człapała powoli skrajem plaży, mocno pochylając głowę i bacznie lustrowała mokry piasek. Najwyraźniej wypatrywała bursztynów. Wzburzone morze gdzieś w oddali wyrzuciło na brzeg otulone śliskimi wodorostami białe muszle. Kaja przystawała w takich miejscach, kuciała i rozgarniała muszleki w poszukiwaniu pomarańczowych grudek.

Zrównał się z Hanką.

- O, jesteś! – powiedziała przekrzykując szum fal.

Nic nie odpowiedział. Wyforsował się do przodu, minął pochyloną Kają i poszedł dalej, co jakiś czas uskakując przed wdzierającą się na piasek falą. Wypatrywał miejsc z muszelkami. Kiedy uznał, że odszedł wystarczająco daleko, sięgnął do kieszeni i szybkim ruchem wydobyl bryłkę bursztynu. Mijając kolejne skupisko muszelek, upuścił ją dyskretnie, jakby od niechcenia. Potem zwoinił, sięgnął po telefon i zaczął udawać, że robi zdjęcia przybliżającym się postaciom. Następnie odwrócił się w kierunku napierającego morza, które skrzyło się niezliczonymi refleksami zachodzącego słońca. Kaja nie lubiła zdjęć. Nie można jej było namówić nawet na okolicznościową fotografię grupową. Zawsze odwracała głowę, psując każde ujęcie.

Kątem oka obserwował zbliżającą się dziewczynkę, która uparcie lustrowała piasek. Kiedy była już całkiem blisko, nagle przystanęła,

Bursztyn

dokończenie ze str. 23

schyliła się i coś podniosła.

- Mamo!!! Pola!!! – wrzasnęła tak głośno, że kilka mew poderwało się w popłochu. – Zobaczcie!!!

Zaintrygowani podbiegli do niej. Kaja tryumfalnym gestem pokazała im ogromną brylkę bursztynu.

- Ale wielki! Gratuluję, dzieciaku! – pochwaliła ją Hanka.

Pola patrzyła na całą scenę w milczeniu. Nagle Kaja zaczęła tańczyć i podskakiwać.

- Mam bursztyn! Mam bursztyn! – powtarzała w nieskończoność. Potem nagle podbiegła do Roberta i pocałowała go w policzek.

- Marudo – powiedziała mu prosto w twarz – Przyznaj, że mi się udało.

- Udało ci się.

- I to ja znalazłam. Nikt inny. – Kaja znowu zaczęła płaszać, robiąc wokół niego kółka.

- Oczywiście, że ty. – przyznał.

Potem pobiegła wzdłuż plaży niesiona entuzjazmem. Morze już w połowie pochłonęło słońce, które na odchodnym barwiło horyzont na pomarańczowo. Wzmógł się wiatr. Fale rozbijały się o brzeg z odwiecznym hukiem. Robert znowu siedł sam, wpatrując się w ślady stóp na piasku. Wdzierająca się woda obmywała je i zaraz zniknęła, jakby nigdy ich tam nie było. „Tak jest z nami”, pomyślał. „To przecież tylko chwilka”. Nagle wyczuł obok siebie czyjąś obecność. Podniósł głowę. To była Pola. Szli przez moment obok siebie w milczeniu. Ta dziewczyna była dla niego zagadką. Zawsze z boku, przygaszona, jakby apatyczna. Zdawała się być myślami gdzie indziej. Z tamtego miejsca czasami wpadała do ich życia, żeby popatrzeć i szybko wrócić skąd przybyła.

- Wszystko widziałam. – powiedziała mu prosto do ucha.

Szli dalej, jak gdyby nigdy nic. Robert patrzył na konające promienie słońca.

- Popatrz, ono ma to wszystko gdzieś... - nie miał pojęcia, dlaczego wypowiedział te słowa.

- Nie posłam od razu na plażę... - mówiła, jakby nie dosłyszała jego ostatnich słów. – Poostałam chwilę przy frytkach i widziałam, jak kupujesz ten bursztyn.

Milczał.

- Potem cię obserwowałam. Wiem, co zrobiłeś.

Ocknął się z chwilowego stuporu.

- Byłyście daleko. Jakim sposobem dostrze-gaś? – zapytał rzeczowo.

- Mam t o! – wyciągnęła z kieszeni małą lornetkę.

Spojrzał przelotnie na ów niewielki przedmiot w dłoni Poli i wrócił do kontemplacji zachodu słońca. Pomyślał, że czegokolwiek człowiek nie zrobi, zawsze, prędzej czy później, będzie tego żałował. A przecież chciał dobrze...

- Kupisz mi taki sam bursztyn? – Pola prze-rwała nabrzmiewające milczenie.

W tej prośbie było coś dziecinnego. Popatrzył na dziewczynę i tak naprawdę po raz pierwszy dostrzegł zalegający w jej oczach smutek. Nagle połączył wszystkie kropki: dystans, alienację, upórczywie milczenie dziewczyny, krytyczne spojrzenia...

- Kupię. Oczywiście, że kupię. – zapewnił z uśmiechem.

Potem objął ją serdecznie, a Pola odwzajemniła ten gest. I szli razem, wsłuchując się w szum fal. Słońce wydało ostatnie tchnienie. ♦

Marian Pajdak

W samo południe

W Capicach, pod lasem dochodziło południe. Samotna, Kwarant Anna co tylko wróciła z południowego udoju Maliny. Przez białą, pamiętającą peerelewskie czasu bawełnianą tetkę przecedziła mleko ze skopca do garnka. Odstawiła na kredens, żeby zebrała się na nim śmietana. Przysiadła na zydelku na środku izby i zabrała się do skrobania ziemniaków na obiad. W radiu – jak co dzień – właśnie urwał się hejnał z wieży Mariackiej. Nastąpiła cisza...

I nagle przez zamknięte okno w jej uszy wdarł się straszny jazgot.

- O Matko Święta! - zatrwożyła się i przeżegnała znakiem krzyża. Ziemniak wypadł jej z ręki. Do kosza odrzuciła nóż. Strzepnęła obierki z fartucha i poderwała się na równe nogi. Roztrzęsiona wyjrzała przed próg.

Polną, wyboistą drogą toczyła się czarna terenówka z wystającą ponad dach wieżyczką. To z niej dochodziły krzyki. Przez głowę starowinki lotem błyskawicy przeleciały obrazy z dzieciństwa. Coś, co widziała i słyszała zaraz po wojnie. Jak mundurowi wraskiem z megafonów, poszturchiwaniem i ponagłaniem rekwirowali jej dziadkom przymusowy kontygent owoców i domowego inwentarza.

Chwilę stała jak zamurowana. Echo ściany lasu odbijało niezrozumiałe słowa: „...uje ...ię ...ać w ...omu!”

Aby cokolwiek zrozumieć seniorka potrudziła pod płot. Na jej widok pojazd zarył w miejscu. Z wniesionego na drodze kurzu zaczęły wylaniać się dwie barczyste sylwetki mundurowych. Jeźdźcy sprężystym krokiem przeskoczyli przez rów. Łąką na skos szli w jej stronę. W południowym, kwietniowym słońcu ich cienie rosły przed staruszką.

Serce kobieciny zamarło. Ślina zaschła jej w gardle. Przerazona zgadywała w myślach: wojna?, znowu przymusowe dostawy?, zaległe podatki?, niepłacony abonament za radyjko?, zaległości za śmieci?, bandyci w przebraniu?...

- Dzień dobry pani Haniu! - głośno krzyknął ten wyższy, kiedy zbliżyli się do płotu na dozwolone rozporządzeniem dwa metry. Dopiero po głosie poznała, że to najstarszy syn Hanki Błażkowej wita ją przyjaźnie. Ten, który na każdym zebraniu wiejskim ma dużo do gadania. W czarnym mundurze, gdyby nie utworzył gęby, był nie do poznania.

- My ze straży gminnej. W imieniu prezydenta, premiera, rządu, wojewody, marszałka, starosty i wójta Franciszka Mordy przypominamy o obowiązku pozostaniu w domu, bo jest nakaz z powodu wirusa. Pani tu o tym słyszała? - rozgadał się ten drugi.

- A jakże! - zameldowała przez płot. - Przez radyjko od miesiąca ostrzegają. Pilnuję się. A jak czego nie rozumiem, to, jak idę do sklepu, pytam kogo i gdzie mogę – pochwaliła się przybyłym w pokojowych zamiarach. Po czym rozluźniła się w rozmowie, bo nerwy jej odeszły.

Kiedy mundurowi już chcieli się pożegnać, pomyślała, że nie wypada puścić ich tak o niczym. - Panowie zająd, spoczną chwilę, coś przekaszą – jak kultura nakazuje, zaproponowała gościnę.

- Raczej nie. Służba. Trzeba zachować ostrożność. Innym razem – dziękowali na wyścigi.

- To chociaż zaczekajcie chwilę – zatrzymała ich na siłę przy płocie. A sama żwawo, jak na 87-latkę przystało, pospieszyła do domu.

Dobrą chwilę jej zeszło. Wróciła kościółkowo przyodziana. I z daniną w rękach za to, że chociaż przez chwilę miała do kogo otworzyć usta na tym pustkowiu pod lasem. Pożegnała ich przez płot odświętnie, po staropolsku: chlebem i solą. Oraz mlekiem prosto od krowy, przelany do słoika po kompocie.

A na odchodnym upomniała: - Jakbyście kiedyś jeszcze zajeżdżali tu do mnie, to ścisście tę szczekaczkę. Inaczej spłoszycie mi kwokę, co ją posadziłam na jajach do wylęgu. Bo wirus wirusem, a żyć trzeba. ♦

15 kwietnia 2020 (wyimek z endemicznego niecodziennika pandemiczno-postpandemicznego pt. „Welcome, tu Capice”)

Fundacja czART Krzywogonca zaprasza na IX ogólnopolski konkurs na tom poetycki „O Złotą Pszczolę”

Organizator

Organizatorem konkursu jest Fundacja czAR(T) Krzywogonca.

Uczestnicy

Konkurs jest adresowany do osób pełnoletnich.

Zasady konkursu w skrócie

Do konkursu można zgłosić projekt książki poetyckiej inspirowanej przyrodą.

Zgłoszenia należy przysyłać pocztą oraz dodatkowo mailem.

Jury oceni nadesłane propozycje i wybierze sześciu finalistów, którzy do 1 czerwca 2026 dostarczą ostateczną wersję tomu poetyckiego.

Regulamin konkursu znajduje się tutaj.

Nagrody

• I nagroda:

- druk tomu poetyckiego w nakładzie 200 egzemplarzy, z czego 150 dostaje autor,

- statuetka Złotej Pszczoly oraz nagroda pieniężna w wysokości 600 zł,

- udział w warsztatach w siedzibie Fundacji – zwycięzca będzie pracował pod opieką tutora nad redakcją tomu poetyckiego,

- udział w wieczorach autorskich.

• II nagroda:

- statuetka Srebrnej Pszczoly,

- nagroda pieniężna w wysokości 500 złotych.

• III nagroda:

- statuetka Brązowej Pszczoly,

- nagroda pieniężna w wysokości 400 złotych.

Nagrodę należy odebrać podczas Festynu Poetyckiego Leśnej Pszczoly ze Świętojańskim Poezjowaniem, który odbędzie się w czerwcu w Krzywogoncu.

Termin

Zgłoszenia będą przyjmowane do 30 kwietnia 2026 r.

Stefan Pastuszewski**Przed godziną przejścia**

nie wiem czy to obraz
czy to fotografia
w każdym razie nie dotyk
moje palce wędrują po wzgórzach
zachodzą w doliny
ale to tylko moje palce
a na tym obrazie
a nie fotografii
to ty jednak jesteś w moim spojrzeniu
na obrazie bez tytułu
w barwie, kształcie, fakturze bez literatury

siedzę tak i siedzę
i nic się nie dzieje
tak potrafią tylko siedzieć ciężko zakochani
tak milczeć
godzinami tak siedzą
i to wszystko
a kiedy nadchodzi godzina przejścia
to biorę cię do łóżka
pod powieką

Przemysław Kantorski**Julia**

Czytam, pomału
„Zaklęty las” albo „Isydorę Moon”
Intonuję, jak aktor, zmieniam głosy
Chcę, by ten czas był dla niej wyjątkowy
„Pan Joe” zamiast „Joe”
Mylę się, ku jej rozbawieniu
Kładzie drobne paluszki
Na moim przedramieniu
To głodzi, to ścisła mocno
Przerywam na chwilę
Zaglądam jej w oczy
Pehnia to, obok ogołocenia
Moja ulubiona Pawłowa metafora
Tak bliska w tej chwili życia

Małgorzata Mittelstadt**grzech**

czuję jak domaga się
mnie całej
twój grzech pierwotny

zawiesza mi się
chciwie na szyi
łapie za włosy

twoimi wargami
czerwienieje we mnie
ciało chce więzić
by wreszcie je osiąść

Patrycja Maciejewska**Ciężar ulotny**

Jasne fiołki na atlasowej polanie
powitały mnie ciepłym pocałunkiem.
Słońce wstało, oświetlając pusty grób
w chwili, która potrafi istnieć bez świata,
zawieszona na nitkach niczego,
którą nazywają szczęściem.

Trwając bez czasu,
nieograniczona rośnie w siłę,
by ucześcić się serca
wyssanego w wampirycznym akcie miłości
i zniknąć, pozostawiając po sobie jedynie
ten ciężar ulotny.

Alina Rzepecka**List Wymyślonej Pierwszej**

Układanie świata straciło na wartości odkąd
dzień rozlicza mnie z każdego wspomnienia o tobie
kłamstwa palą usta i mosty
a przecież tak delikatnie ścigałeś się z budzikiem
żeby zdjąć ze mnie ostatni skrawek snu
umiem na pamięć wszystkie twoje wiersze
choć większości nie rozumiem
szepczę je zamiast wieczornej modlitwy
kiedy milczy telefon a kopertom brakuje adresów
mówisz że tak jest lepiej
mój cień niekompletny bez ciebie
boi się wychodzić do ogrodu a co dopiero do ludzi
w trzech literach nocy nie ma miejsca na żaden sen
który mogłabym opowiedzieć ci przy porannej kawie
nie
nie znam żadnej terapii która leczy z miłości
tylko nadgarstki opuchnięte od pulsu
kryję w kieszeniach
żeby nie prowokować ostrzy

Jakub Fornagiel

Jane
Mrugasz zadziornie
Przez burzę brązowych włosów
Hipnotyzując rozbłyskiem tysiąca gwiazd
Uwodząc na skraj implozji
U zarania wieczoru
Jane
Kątem oka obserwuję
Jak spokojnie leżysz
Z zamkniętymi oczami
Gdy czytam ci
Wiersz napisany
Specjalnie na ten wieczór
Jane
Z każdym dniem
Uświadamiam sobie mocniej
Bliskość naszych języków czułości

Iwona Orzechowska Wiater**Bez słów**

Pytasz czemu milczę. Milczę
bo chcę powiedzieć wszystko.

A nie wszystko można powiedzieć
słowami. Brak słów jak rzeka treści
cichym nurtem płynie pomiędzy nami.

Przerzuć most. Ale milcz.

Wystarczy spojrzenie.

Stefan Pastuszewski

Wigilia polska z babcią i psem w tle przedstawienia

Największe wrażenie wywołały chórki brawurowo śpiewające kolędy, w tym polską wersję tułającego się od początku listopada po ulicach całego świata *Last Christmas*, który okazuje się nie być kolędą, tylko nostalgicznym erotykiem wyspiewywanym przez zakochanego mężczyznę: „Gdybyś mnie pocałowała znów nabrałbym się”. Ale to tylko tło tego przedstawienia, bo sednem są cztery wieczery wigilijne czterech rodzin siedzących przy stolikach zmieniających się za sprawą sceny obrotowej. Jest opłatek, są życzenia i zaklęcia na temat zgodnego, kochającego się stadła, ale też obserwujemy mizdrzenia się pań i wypinania się panów domu. Nawet *Kevin sam w Nowym Jorku* po zakończonej wieczery jest oglądany. Sztampa, standard, ale też gorzka satyra na wigilijną hipokryzję, którą trochę osładzają

owe roztańczone na nowoczesno i młodzieżowo kolędy.

A w istocie rzecz cała toczy się wokół *Babci*, granej „na pół”, to znaczy do połowy spektaklu przez jedną aktorkę, a od połowy przez drugą (**Lidia Zawadzińska, Nicole Górka**); nie wiadomo, która grała bardziej przekonująco, bo to przecież dziewczyny, a trzeba wcielić się w odsuniętą na bok, poza wigilijny stół, staruszkę z Alzheimerem w głowie. Wciąż przywołuje ona dziadka i to tak namolnie, że córki z *Rodziny pierwszej* (**Luiza Stawicka, Malwina Abramowska**) nie wytrzymują i werystycznie opisują rozkład dziadkowego truchła, nawet nos zatykając. *Babcia*, nagabywana przez *Gościa* (**Zuzanna Martyniuk**), który okazuje się być handlarzem nieruchomości, zaginającym parol na babciny domek, żyje tylko przeszłością i

dłatego jest jej dobrze. Bo rodziny nie dość, że odstawiły *Babcię* do kąta, to ostatecznie ją opuszczają. To ich odejście-ucieczka robi wielkie wrażenie, podobnie jak monolog *Psa* (**Antoni Szcześniewski**), bez pardonu opisującego z perspektywy podłogowej zachowanie się ludzi. Co rusz ta mądra psina, wiedząc, że tak trzeba, powtarza jednak zaklęcie, że *jest jej u ludzi dobrze, ale...*

Spektakl *Pustostan* według tekstu **Maliny Prześlugi** wystawił w przedłużonym tylko w Polsce okresie bożonarodzeniowym, zespół z XV Liceum Ogólnokształcącego, im. Jeremiego Przybory z Oddziałami Mistrzostwa Sportowego w Bydgoszczy, bardzo liczny zespół, bo na scenie pojawiło się 25 aktorów, a na zapleczu pracowało jeszcze kilku operatorów.

Bardzo dobrze to świadczy o szkole, specjalizującej się więc nie tylko w sporcie, ale i w kształceniu artystycznym (dyrektor **Stanisław Pilewski**) oraz o aktorach Teatru Kameralnego (**Katarzyna Chmara-Collins** i **Nikodem Bogdański**), którzy licealistów w prawdziwy teatr wdobyli. ♦

Juliusz Rafeld

Eksperyment

Tego jesiennego dnia, jak zawsze w sobotnie popołudnie, udaję się do Staropolskiej, gdzie podają najlepszą latte w mieście. Moja miejscówka jest na pięterku, małej antresoli z czterema stolikami, często wolnymi. Pasuje mi to, bo nikt mi nie przeszkadza w czytaniu lub pisaniu. Jeśli odpowiednio trafię, na zamówioną przy barze kawę nie muszę czekać, bo sprzedawczyni przynosi mi ją na górę. Ma na imię Kinga, wiem to z plakietki przypiętej do służbowego wdzianka. Dziś tak właśnie trafiłem.

Schodzi jej jednak kilka minut, widocznie kolejka na dole wyjątkowo szybko urosła. Wykorzystuję ten czas i od razu otwieram zeszyt i zaczynam pisać to, co mi chodzi po głowie od kilku godzin.

*z prochu powstałeś
i w końcu odgrodziła nas ziemia
na której posiano marmurowe krzyże*

To reakcja na wspomnienie pogrzebu kolegi sprzed dwóch dni. Tak właśnie reaguję na to co mi się w życiu przydarza. Trudno powiedzieć dlaczego. Po chwili pojawia się pani Kinga z kawą i małym ciasteczkiem, stawia je na stoliku obok zeszytu. Zauważam, że zwleka nieco z odejściem, zatrzymując na chwilę wzrok na kartce. Dziękuję, odchodzi z lekkim uśmiechem, a ja piszę dalej, by kolejne słowa nie uleciały.

*kiedy wszystko ucichnie
dopiszą słowa w ogrodzie
który nad tobą
zakwitnie jesienią lampionami*

Tak sobie myślę, że to może jest moje pożegnanie z nim...

Widzę, że pani Kinga pojawia się ze szmatką i dozownikiem, spryskuje i wyciera stoliki. Podchodzi do mnie i niespodziewanie pyta:

- Przepraszam, czy mi się wydaje, że

pisze pan wiersz?

Podnoszę wzrok, widzę jej nieśmiały uśmiech i odruchowo odpowiadam, że tak się składa. I po raz pierwszy zauważam dwa śliczne dołeczki na policzkach.

- Wie pan, bo mnie się też czasem to zdarza.

- Nooo, fajnie...- przerywam zaskoczony.

- A o czym pan pisze? Coś wesołego?

- Oj, raczej nie. Smutna historia. A pani ma jakiś ulubiony temat?

- Nie, chyba nie. Tak pisuję. Można zerknąć? Jeżeli już skończone, oczywiście.

Tym razem zaskoczenie nie odbiera mi słów.

- Proszę – odwracam zeszyt.

Po krótkiej lekturze mówi:

- Rzeczywiście smutne. Ale ładne.

- A może przyniosłaby pani kiedyś coś swojego, żebym też mógł zerknąć? – podkusiło mnie coś. – Przyjdę specjalnie na pani dyżur. Kiedy najlepiej?

- Według grafika będę we wtorek.

- Na pewno przyjdę.

- Fajnie – potakuje kiwnięciem kasztanowej czupryny.

Czekam zaintrygowany i we wtorek wchodzę do kawiarni, od razu lokalizuję panią Kingę za ladą, i tak manewruję, żeby trafić do jej stanowiska.

- Jak zwykle? – pyta. – Latte?

- Jasne. I będę czekał na górze. Będzie coś do kawki? – unoszę brwi znacząco.

- Tak, mam. Przyniosę z kawką.

Na górze tym razem nie jestem sam, lecz dwójka gości siedzi w oddalonym kąciaku. Dwie minuty później zjawia się moja kawka, zaś obok pani Kinga kładzie kopertę.

- Starałam się nawiązać do nastroju pańskiego wiersza – mówi konspiracyjnym szeptem. Ciekawe, czy się panu spodoba.

Poduję później – dodaje odchodząc.

Oczywiście od razu otwieram kopertę i czytam.

*omyłkowo bierze czerwień w jej oczach
za słoneczne refleksy
a amarantową kokardę
jako ozdobę siwych włosów*

*zwozdi go ciska
jesienią brzmi zawsze tak samo
choć to nie jej wina
że nie położył maków
na granitowej płycie
brak miejsca na curriculum amae*

Popadam w zadumę. I powoli rodzi mi się w głowie pomysł. Nie wiem czemu, ale nabieram pewności, że pani Kinga da się kiedyś zaprosić na dobrego szampana i może wtedy razem napiszemy jakiś wiersz. Taki eksperyment... ♦



FIRMA RODZINNA

PRODUCENT RYB I OWOCÓW MORZA

NR 1 W POLSCE

NAJLEPSZA JAKOŚĆ

PRZYSTĘPNA CENA

DOSTĘPNY WSZĘDZIE

ABRAMCZYK Sp. z o.o.
ul. Inflancka 7, 85-776 Bydgoszcz

tel./fax +48 (52) 344 56 77
e-mail: sekretariat@abramczyk.pl

www.abramczyk.pl

Dariusz Malach

A niech tam!

O święty Kościele,
co tydzień w niedzielę
twoja moc i potęga
do kieszeni sięga.

Ksiądz proboszcz z wikarym
wychodzą po dary,
podsuwają koszyk.
Szczęść Boże za grosik.

Sypią się pieniądze
nikle i mosiądze
w wiklinowy talerz -
mane tekel fares.

Grzechy odpuszczone,
datki policzone,
ksiądz umywa ręce
z rulonem w torebce
po skończonej sumie
na zakupy sunie.

Tutaj buteleczka
a tam zakąseczka,
nieopodał w kiosku
paczka papierosków.
Po dobrej wieczery
dymek się należy.

Jeszcze suwenirek
dla gosposi miłej,
chusteczka na głowę,
papatki pluszowe,
staniczek w jagódki
i inne filutki.

Już jesień na dworze,
chłodno o tej porze,
to i nie dziwota,
że bierze ochota
przy kominku po mszy
kropelkę wysączyć.

Koniak wysączony,
łososik zjedzony,
błyszczą oczka czarne
gosposi figlarniej.

Ksiądz proboszcz niestary,
przystojny wikary
i łóżeczko ciepłe -
gdzie jej będzie lepiej.

Nad kościelną wieżą
gwiazdy zęby szczerzą,
po znoej niedzieli
już sobie posnęli...

Pod wonną pierzyną
z rumianą dziewczyną
ksiądz proboszcz niestary,
przystojny wikary...

Trzy duszyczki razem
pod świętym obrazem
mają się ku sobie.
Daj im Boże zdrowie.

Czesław Dawidowicz

Język w kefirze

Feminatywny koncert.
Żeńskich końcówek początek.
i rewolucja w butelkowych korkach!

Mysł napadła mnie nagle, gdy
zakręcałem kefir. Uwaliłem koszulkę
mleczną długowiecznością.

(Bowiem zawsze, resztki wstrząśniętego kefiru
zostają na wewnętrznej części korka, który to
powierzoną mu zawartość, figlarnie przenosi
na moje odzienie.
Wszystko z uwagi na konieczność
pozostawienia korka, u szyjki butelki.)

Już ze mną zostanie dziś, i kefir, i myśl...

Chirurgka, czy chirurgini?
Bo w Polsce mówi - ministra.
Gościni, przy aparacie.
Doktorka zamiast doktora
Uliczna zmora, kierowczyni.

Nagle pytanie we mnie dojrzało...

Jak szowinista, żartował przed laty,
pytając ojca o kobiecie paliatyw.
Przekornie stawiając pytanie,
ile człowieka w kobiecej skórze?

To ja się pytam dziś, zupełnie poważnie.
Jak bardzo myślenie to, bywa zakaźne?
I zostawiam pytanie na miarę czasów...
Człowieczka, człowieczyca, czy człowieczyni

- tych językowych arrasów, zostanie następcą?

A kiedy, zgrabnie ktoś zażartuje, iż kobieta
człowiekiem już się nie czuje.
To jedno na pewno mogę Ci sprzedać,
językowy komunizm nadszedł, czas zwiewać.

Grzegorz Zientecki

AFORYZMY

Materia jest pokutą Ducha.

Cierpienie budzi w nas oko wewnętrzne.

Wszystko da się odczytać, ale nie wszystko da się zapisać.

Nie tylko gwiazdy patrzą. Czasem przenikliwej patrzy ciemność.

Życie pisze scenariusze, którym najczęściej odmówilibyśmy roli.

SATYRA

Marek S. Podborski

Cnota hybrydowa

mamy intensywne
przygotowania do wojny
psychologicznej

proszę uzbroić się
w cierpliwość

Jajo wody

noce zarwane
róże usłane
żony porwane
mosty zerwane
noże zadane
gwiazdy zebrane

w nioski

Połów

jak to nic?
skoro coś

w połowie

Do prawdy

tak to prawda
w oczy kole

Prawdy

Mistrz anachoreta

dużo trenowałem
i poprawiłem czas

na swoją modłę

Cela trzmiela

dobrze wróży
w róży

Stanisław Gębała

Złoci się w czerni

Lektura tych wierszy była dla mnie dużym przeżyciem estetycznym. Przede wszystkim muszę podkreślić ciągły rozwój warsztatu poetyckiego autora, który ostatnio wzbogaca swoją twórczość o wiersze bezrymowe, równocześnie miniaturyzując swoje utwory i posuwając się wielokrotnie aż do ascezy słownej. Nie oznacza to odrzucenia jego ulubionej metody „malowania słowem” czy stosowania ekspresyjnych powtórzeń, niekiedy nawet czterokrotnych, jak w wierszu: „będziesz będziesz będziesz / będziesz” i „razem razem razem / razem”.

Znacznie oszczędniej również niż niegdyś posługuje się rymem, często wręcz preferując rymy niedokładne i rozmieszczając je w odległości kilku wersów, co likwiduje „katarynkowe” natręstwo brzmieniowe.

W swoim obrazowaniu jest to poezja powrotu do czystego piękna, bogactwa obrazów, przepychu kolorów, rozgwieżdżonego nieba... Oczywiście warunkiem takiego postrzegania świata jest miłość, która okazuje się jednak ulotna.

„Nie oszukuj / że mnie szukasz” - to pierwszy, jeszcze żartobliwy, sygnał nieuchronnie zbliżającego się dramatu rozstania. Dramatu, którym żywiła się poezja od wieków, coraz bardziej go teatralizując aż do barokowego szczytu. Czytając jednym tchem ten zbiór wierszy, nie mogłem się pozbyć narastającego wrażenia, że oglądam barokową operę i słyszę metafory jak z barokowej arii np. „Miododajne słońce”. Ta metafora poetycka pochodzi z odległej przeszłości poezji, ale w tym zbiorze niemal zderza się z utworem, w którym współczesna asceza słowa została posunięta prawie do granic: „Między nami / zaiskrzyło / i zgąsło / Ciemność” (Zaledwie pięć słów).

Są tu miniatury poetyckie wręcz zachwycające, np.: „Z dwóch serc / trzecie / malutkie / bijące uśmiechem / miłości”.

Czasem poeta obniża tonację – z patetycznej do żartobliwej, poszerzając skalę nastrojów: „Księżyc gra mi na nosie / gwiazdy parska / studnia nocy coraz głębsza”.

Chciałoby się jeszcze długo cytować co

piękniejsze fragmenty wierszy, ale przede wszystkim trzeba powiedzieć, że Juliusz Wątroba ocala samą wrażliwość na piękno, która została w naszej współczesności poważnie zagrożona choćby przez trywializację języka, w tym także języka poetyckiego, metafor.

Muszę jeszcze przytoczyć życiową i twórczą dewizę poety: „Ze szczenięcą radością / przez całe życie / i z psią wiernością / Bogu i sobie”.

A co z miłością, która okazuje się zbyt trudna i męcząca? Na to pytanie pada brutalna odpowiedź: „Zaplać się / w ścieżkach Twoich oczu / Zmęczyłem twoim chłodem / Powiedz mi co mam począć? / - Odpocząć / i odejść”.

Poeta w końcu rezygnuje z „ogarnięcia wszechświata” i mówi „Spróbuję ocalić siebie”, a po tym przejmującym wyznaniu pochyla się nad najskromniejszym z kwiatów: „Niezapominajka / się zapomniała / - nie zakwitła”.

Ten zbiór wierszy polecam z pełnym przekonaniem o wybitnej wartości artystycznej i jako kolejne świadectwo ciągle rozwijającego się talentu poetyckiego Juliusza Wątroby. ♦

Juliusz Wątroba, *Złoci się w czerni*, Wydanie I. Wydawnictwo B63, Chybie 2025

Juliusz Wątroba

Tyle w tobie niedomówień, niedopieszczień...
Cała jesteś nie do rzeczy, nie do życia,
lecz gdy idziesz z głową w chmurach drży powietrze,
cichną ptaki, aniołowie gubią skrzydła...

Z twoich spojrzeń kolorowych wschodzą tęcze,
w środku miasta słup się zmienia w rajska jabłoń,
po twych krokach wyrastają słońce kaczęce,
po dotyku – gęsia skórka na ramieniu...

W takiej chwili jestem tylko bryłą soli,
choć serca wrzący gejzer krew rozrywa,
i niepewność: czy mnie dojrzysz, czy pozwolisz
rannej rosie moich pragnień sięść na wargach?

Tyle w tobie niedomówień, niepewności,
które cudem swego ciała wciąż osłaniasz...
Cała jesteś nie do życia, nie do śmierci,
ale tylko do kochania... Do kochania

Rozpadała się noc
deszczem snu
przed którym nie chronił
parasol jawy
dlatego tak ciekawie:
białe kruki
czarne mewy
kolorowy popiół
i ty mnie kochasz
skrzydłami spełnień
unosząc w nieba puch

Dobrym słowem ci wymoszczę
zamyślenia
by nie kłuły cię jałowce
aby teraz
dobry czas przystanął w biegu
więc cię proszę
swego piękna nie gub
nie gub
(bo nie zniosę)
bym przytulał je w tej chwili
i na zawsze
bym mógł w twoje zapatrzenia
sercem patrzeć
- same oczy nie wystarczą
by cię objąć

Zatrzymaliśmy się w biegu
z przeciwnych stron do nikąd

Nie wierzę w miłość
od pierwszego spojrzenia

Wierzę w miłość
od pierwszego dotyku
pędzelków twoich rzęs
na moim nosie
i staje się witrażem
ze szkiełek szczęść
przez który widzę cię
w złocie

Jarosław Stanisław Jackiewicz

W rytm tykania zegara

Czas upływa tykaniem zegara – tytuł książki, zaczerpnięty z pierwszego wiersza, może wydać się banalny, zbyt oczywisty, ale jednocześnie trafnie ukazuje to, o czym pisze twórca, a pisze przede wszystkim o Przemijaniu i o Istnieniu; słowa takie jak: „jest”, „bywa”, „trwa” powtarzają się. Kruchota Istnienia, kruchota Bytu, ale zarazem odwieczne Trwanie Boga. Krajobraz duchowy tej poezji przesiąknięty jest do głębi metafizyką. Ale nie jest to metafizyka abstrakcyjna, gdyż ściśle związana z ludzką rzeczywistością, z doczesnością. Już w pierwszym wierszu autor nawołuje słowami filozofa:

*spiesz się powoli
dzikość łagodnie
łaskot kończy się ciszą
ogień krzepnie
blask ciemnieje
płomienie gaszą wodę
czas upływa
zmierzając do swojego początku
który nigdy się nie zaczyna*

Istotnie, Czas jest siłą, której nie można zignorować. Jest rzeczywistością przejmującą, wszechogarniającą człowieka, nie może bowiem istnieć życie poza czasem. Przynajmniej tu, na Ziemi. W tej poezji jest po prostu obecny Bóg.

Wiersze W. S. KOZAKA są formalnie stosunkowo proste; jeśli znajdujemy tu metafory, to bywają one używane dość oszczędnie i ze smakiem. Bardzo często autor wyodrębnia pojedyncze słowa – ale nie tylko słowa, często też zamiast nich znajduje się tylko jedna literka: „i”. Tak jak w tym wierszu:

*pytania bez odpowiedzi
i
mowa
pozornie niema
i*

*cisza
na pozór głucha
i
miłość
li tylko wyszeptana
zawsze i wszędzie
i
w niebie
zostanie wysłuchana.*

Nad niektórymi tekstami czytelnik musi się pochylić, musi być uważnym, by niczego nie uronić. Niektóre z nich są dość tajemnicze – takie, jak ten:

*bywa że
prawie zawsze
prawie wszędzie
prawie nigdy
prawie wszyscy
prawie każdy
prawie żaden
prawie nikt
a
już połknięte
przeżute
przetrawione
zgniłe
i...*

wydalone.

Ale rozważania teologiczne czy filozoficzne to nie wszystko, znajdziemy tu także piękne erotyki, wiersz inspirowany głośnym filmem Agnieszki Holland „Zielona granica”, jest też obecna przyroda, zwierzęta – zwłaszcza ptaki: wróble, gile, łabędzie. Mamy też niezwykle ironiczny i gorzki wiersz o... poetach. Tu i ówdzie pojawia się jakaś smutna refleksja, czy wręcz żal za odchodzącym życiem („zbyt mało przeżyłem / życia” – tymi przejmującymi słowami kończy

się jeden z wierszy). A wszystko to w aurze czterech pór roku, w aurze ustawicznego Przemijania...

Tak, smutne są to rozważania, nastrój tych wierszy zdecydowanie melancholijny. W. S. Kozak w tych tekstach, używając nieco górnolotnego określenia, odkrywa swoją duszę, dzieli się z nami swoimi refleksjami, wrażeniami, uczuciami. W jednym z utworów bez tytułu pisze:

*w ogromnych oczach patrzących na
niehumaną rzeczywistość
odbija się jedynie strach
ludzkiej nierzeczywistości.*

Takie frazy sprawiają, że odbiorca zatrzymuje się przy tej poezji nieco dłużej. Jest tu drugie dno, do którego musi się sam „dokopać”.

Na koniec chciałbym przytoczyć pewien wiersz w całości:

*tam
gdzie szuka się
samotności
znajduje się
ludzkie tłumy
tam gdzie się
kocha
jest dwoje
oczu
warg
dłoni
i
stóp do obmycia. ♦*

Witold Stanisław Kozak, *Czas upływa tykaniem zegara*, Wydawnictwo „Pejzaż”, Bydgoszcz 2025.



Ośrodek Szkolenia Kierowców
AGORA-MIRAŻ

Mecenas Bydgoskiej Kultury

www.naukajazdy.bydgoszcz.pl

- ♦ Szkolenie w zakresie przewozu osób i rzeczy
- ♦ Kurs ADR - przewóz materiałów niebezpiecznych
- ♦ Pracownia psychologiczna

Biuro czynne:

poniedziałek - czwartek 8:00 - 19:00

piątek 8:00 - 16:00;

sobota i niedziela 9:00 - 13:00

ul. Gajowa 32

tel. 052 342 34 96

tel. 052 348 98 23

KATEGORIE

A, A₁, B, B₁, C, D, T,

E do B, E do C

InoNet

Szybki INTERNET

światłowód

w Twoim domu

- skorzystaj już dziś

Skontaktuj się z nami:

InoNet

Poznańska 225

88-100 Inowrocław

TEL. 790-866-797

biuro@inonet.pl

www.inonet.pl

Maria Balcer

Skarga i przestroga w *trenie* nocnego ptaka Jerzego Utkina

Wyposażeni przez naturę w zdolność magazynowania i odtwarzania informacji – pamiętamy. Pamięć o tym, co dobre, buduje nas i daje siłę; od złych i bolesnych doświadczeń chcielibyśmy pamięć bezpowrotnie uwolnić, zapewne dlatego często wypieramy z niej to, co nie pozwala nam żyć spokojnie. Czy jednak można budować przyszłość na niepamięci? Przyszłość, która przecież wywodzi się z tego, co było. Przyszłość, która, z błędów wyciągając naukę, potrafi solidnie się odbudować, wie, jak stawiać kroki, by nie upaść i nie zaprzepaścić tego, co cenne.

„Krew raz przelana, nigdy nie wysycha” – pisze JERZY UTKIN w swojej książce poetyckiej, zatytułowanej *tren nocnego ptaka*. Chciałoby się dopowiedzieć: nie wysycha i użyźnia ziemię, by rośli na niej bohaterowie, którzy nie wyparli z pamięci krzywd swych poprzedników. Chciałoby się – tymczasem „tych, którzy tam polegli wymazać z pamięci/ próbują wciąż ci sami którzy krew i błoto/ zamieniają codziennie w dolary i złoto”. Słowa to gorzkie i niepokorne, jakich w wierszach złożonych w *tren nocnego ptaka*, nie brakuje. Słowa – przypomnienia, słowa – przestrogi. Wersy, które obnażają zakulisowe knowania polityczne, uświadamiają zagrożenia, których dostrzec nie umiemy, a i dla własnego spoko-

ju czy wygody dostrzec nie chcemy. Spokój i wygoda są tu zresztą tylko potocznymi określeniami wygodnictwa i bezmyślności. Bo jakże można żyć spokojnie, kiedy „w dobie wioski globalnej zagrażają światu/intrygi i knowania sfory psychopatów”?

Uwagi potrzeba, rozważ, mądrości. Kojarzenia faktów i rozważnego dobierania przyjaciół. Ale żeby to było skuteczne, konieczna jest pamięć o tym, co było. Poeta, ten, który pamięta, jak nocny ptak snuje swój tren – lament nad bezkrytycznym podążaniem ścieżką politycznej poprawności, nad tym, że „naród woli się zabawiać/ niż rządzącym żądania i warunki stawiać”. Cisza nocy, która pomaga oddzielić ziarna wartościowych słów od plew czczych obietnic, sprzyja rozmyśleniom i wyciąganiu wniosków. Nocny ptak – mądra sowa (czy raczej złowieszczy puszczek?) opowiada to, o czym chciałoby się zapomnieć. Przecinający nocną ciszę głos sowy czy puszczka – niepokoi, przypomina dawne wierzenia, wedle których był zapowiedzią nieszczęścia, a nawet śmierci. W wierszu Jerzego Utkina jest skarga i westchnieniem, przypomnieniem, że „pora by się zatrzymać przystanąć w pół drogi/ przeżegnać się z szacunkiem zgłąć w kolanach nogi// i odmówić modlitwę trzeba bowiem wierzyć/ w spokój

dusz i sen wieczny poległych żołnierzy”.

Forma poetycka przyjęta przez autora – zaplatające się przerzutniami dwuwiersowe strofy (niejedynie w tej książce, lecz przeważające) – uparcie przywodzi na myśl łańcuch zależności, który oplata Ojczyznę. Wersy tak zaplecione, rytmiczne, wydać się mogą także różańcem odmawianym w Jej intencji – bolesną modlitwą, punktowaną mocnymi puentami utworów („szampan ani koniak/ nie są w stanie zmyć śladów posoki na dłoniach”, „nie wiem czy nam przebaczą głupotę potomni”).

Książka Jerzego Utkina jak ptasi tren ostrzega przed niepamięcią, która, podstępna jak chwast, nie wiedzieć kiedy rozsadzający kamienne groby, tak samo niepostrzeżenie może zniszczyć naszą świadomość i narodową tożsamość. ♦

Jerzy Utkin, *tren nocnego ptaka*, Instytut Wydawniczy Świadectwo, Bydgoszcz 2025, str. 32

Nowe tytuły

Justyna Kubiak, *Kaligrafia*, Bydgoszcz 2022, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, ss. 46.

Justyna Kubiak, *Ciemna Zielen*, Bydgoszcz 2023, Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, ss. 58.

Jerzy Sałata, *Wież pachnąca wierszami*, Olsztyn 2025, ZLP, ss. 80.

Piotr Nowak, *Las mówi*, Aneta Przybyłek, *Las gubi*, Lubliniec 2025, Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, ss. 97.

Katarzyna Zając, *Kolebka*, Poznań 2025, Biblioteka „Font”, ss. 78.

Juliusz Gałkowski, *Sonet*, Leoniańskie, Kielce 2025, Pewne Wydawnictwo, ss. 20.

Jolanta Baziak, *Kochanka natura*, Bydgoszcz 2026, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 144.

Witold Stanisław Kozak, *Czas upływa tykaniem zegara*, Bydgoszcz 2025, Wydawnictwo „Pejzaż”, ss. 52.

Waldemar Michalski, *Mały tryptyk roztoaczański*, Lublin 2025, Wydawnictwo „Norbertinum”, ss. 94.

Red. Maria Duchnik, Aneta Przybyłek, Jerzy Sałata, *Bartoszycka Grupa Literacka „Barcja” 1983-2023*, Bartoszyce 2023, Stowarzyszenie Bartoszycka Grupa Literacka „Barcja”, ss. 334.

Krzysztof Szymoniak, *Wyjazd*, Gniezno 2019, Wydawnictwo „Gaudentinum”, ss. 48.

Krzysztof Szymoniak, *Strach przed poezją*, Gniezno 2019, Wydawnictwo „PP-etibon”, ss. 90.

Krzysztof Szymoniak, *Melanż 2*, Gniezno 2020, ss. 108.

Jerzy Sałata

Anety poetyckie fascynacje lasem

ANETA PRZYBYŁEK po koleżeńsku podarowała mi świeżutki tomik swoich wierszy *Las gubi*, wydany wspólnie z Piotrem Nowakiem pod podobnym tytułem, ale bardziej optymistycznym – *Las mówi*. W tej ciekawej edytorsko książce Bartoszyce reprezentuje wspomniana już Aneta Przybyłek, a Kolonię Bogoria – Piotr Nowak, którym nie obce są wrażenia i emocje wyniesione z lasu, który razem, ale z osobna zwykli odwiedzać, w nim przebywać i wylapywać myśli związane z przyrodą i zapisywać je najszybciej jak tylko można, by nie uronić z nich chociażby „połowy słowa”.

Zabrałem ze sobą pięknie wydaną książeczkę na „urlop” do bartoszyckiego szpitala. Korzystając z wolnego czasu i żeby nuda stała się czymś pożytecznym, zabrałem się do czytania. Choć niektóre już znałem, ale ponowne czytanie utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że w studiowanych wierszach znowu znajduję inne odczucia, a to dlatego że w trzydziestu siedmiu lirykach autorki dopatruję się tego czegoś, co każdy poeta odczuwa osobno. W moim mniemaniu to coś nazywa się wyrobieniem poetyckim, do którego dochodzi się czasem po grudach i w znoju. Aneta Przybyłek długo borykała się ze znalezieniem swojej drogi.

Choć autorka unika chodzenia z głową w chmurach, to ma poczucie wartości osobistej, i co ważne, jej emocje stąd wzięte, są

nad wyraz stabilne, umie zachować umiarkowanie buzującej radości. W osobowości Anety bardziej widoczna jest skromność, a sama autorka to już poezja, to bycie sobą i przez miłość do wszystkiego, co spotyka na swojej drodze.

* * *

Jeśli chodzi o Anety „sasiada” z tomiku wierszy wspólnych – Piotra Nowaka, cóż można powiedzieć? Ano chyba to, że autor „włoczył” się zawodowo po lesie, jako leśniczy. Rozmawiał z drzewami, krzewami, runem, może nawet ze ściółką, aż doszedł do tyłu leśnych głosów, że w końcu wziął pióro do ręki.

Wiersze te powstały w ciszy z ciszy, które stworzył z wielu godzin spędzonych w ulubionych ostępach już nie „ciszy”, ale mówienia lasu przez bytujące w nim ptaki, szum liści wywołanych wiatrem, czy padającym deszczem. Wyległa się zagnieżdżona gdzieś w sobie miłość do lasu, która w końcu objawiła się w postaci wierszy.

A co robi w tym tomiku dwójga poetów Paweł Ulaniuk – leśnik, a zarazem ceniony fotograf? A no, obrazowo uzupełnił wiersze, dopasowując odpowiednie ujęcia natury. ♦

Aneta Przybyłek, *Las gubi*, Piotr Nowak, *Las mówi*, Lubliniec 2025, Wydawnictwo św. Macieja Apostoła

To się czyta

„Czy zapis wzruszenia, lęku, zachwytu – nawet prawdziwego – wystarcza, by mówić o wierszu? Jeśli przyjmujemy takie kryterium, poezja traci swoją odrębność i staje się jedynie formą komunikatu emocjonalnego. Tymczasem poezja zawsze była czymś więcej niż ekspozycją. Była pracą nad językiem, nad jego możliwościami, ograniczeniami, napięciami” – napisał Krzysztof Gołębiewski w akantowej dyskusji o granicach poezji („Akant” 2026, nr 3, s. 20) i zaraz dodał:

„Granica poezji nie przebiega więc między formami, lecz między tekstem, który tylko komunikuje, a tekstem, który otwiera znaczenia i wytrzymuje samotną lekturę. Poezja zaczyna się tam, gdzie język przestaje być przezroczysty i zaczyna stawiać opór – autorowi i czytelnikowi”.

Zbiór wierszy **RAFAELA BUDZBONA** *Wiersze frechowne* wyczerpuje tę definicję. Wyczerpuje też program przypisany literaturze jako takiej, a więc nie tylko *uczy*, ale i *też bawi*. Poczytajmy:

Kraft

ku
Felkowi na gorączkę
piwo grzane w noc
śniadanie

jak na trawie
rosi wrażeń
moc prac
ziemnych

Jak widać – czytać mamy tu do czytania z daleko, czasem nawet z za daleko idącą inwencją słowną. Słowa przemyślnie zestawione, słowa połamane, no i oczywiście niecodzienne, bo gwarowe (gwara bydgoska zaczerpnięta z prozy Jerzego Sulimy-Kamińskiego). Otwiera to nowe przestrzenie wyobraźni, rodzi błysk zaskoczenia, zaciekawia. Trochę jak szarada, krzyżówka, czy inna rozrywka umysłowa. Wciąż chce się dalej i dalej, a co na następnej stronie będzie, co to wszystko znaczy?...

Zbiór wierszy autora *Nocy jak dzień* czyta się od początku do końca i dziwi się, że to już koniec. Bo wpada się we wzmożenie lingwistyczne, i dalej, dalej.

A jednak jest w tych wierszach sporo uczucia, przeżycia lirycznego. Z ulicy, a nie z salonu, i to z szarej, brudnej, ale za to bardzo ludzkiej ulicy, jaką w różnych wersjach prezentuje obiektyw Tomasa Kłausa, którego fotografie ilustrują i wzbogacają, a raczej dopowiadają treść słowną omawianego tomu. Oprawa plastyczna też jest bardzo wyrafinowana.

Gęsty to więc w znaczeniu tom, sygnalizujący między innymi bydgoski odwieczny spór między autochtonami a przybyszami (*kongresiaki*) i kończącej XX wiek walki o nową rzeczywistość, w której to walce R. Budzbon odgrywał istotną rolę jako rasowy opozycjonista i konspirator. Mamy też odniesienia do obecnej wojny na wschodzie Europy i wlokącego się za nami, a Polacy bardzo lubią sięgać wstecz, dramatu, a może już tylko groteski, *coraz cienniejszego TW Bolka*.

Ależ, ależ! Autor *Slideshow* sięga też w przyszłość. Jako rasowy polityczny zwierz przewiduje efekt najbliższych wyborów:

Bumelzug

drogi
przywódca

nie wybudował
żadnej

nie będzie
przebac

Pożyjmy, poczekajmy, także na kolejny tomik Rafaela Budzbona, bo ten spełnił dwa kryteria poezji przedstawione przez K. Gołębiewskiego. A trzecie, czyli mądrość, jakieś głębsze przesłanie? Na to pytanie już sami musicie odpowiedzieć drodzy czytelnicy. ♦

Rafał Budzbon, *Wiersze frechowne*, Bydgoszcz 2024, Wydawnictwo Bydgoska Licencja Marek, ss. 108

Drwinki i docinki

Pamiętam wiersze **ADAMA DECOWSKIEGO** z lat osiemdziesiątych w „Zielonym Sztandarze”, gdzie sam drukowałem, rzeszowski autor był zawsze subtelnym lirykiem. Obszerny tom „Fraszkoteka” wyróżnia się wyrafinowaną ironią, dystansem do świata, pięknem języka.

Dziś, gdy po latach wracam do jego poezji w tej zwartej, przemyślanej kompozycji, widzę twórcę dojrzałego, ale wiernego własnemu tonowi. Decowski nie porzucił czułości wobec szczegółu ani skłonności do półśmiechu, który nigdy nie jest szyderstwem, lecz raczej próbą ocalenia godności wobec absurdu codzienności. „Fraszkoteka” nie jest zbiorem błahych drobiazgów – mimo formy krótkiej, często aforystycznej – lecz precyzyjną wiwisekcją naszych przyzwyczajęń, lęków i małych triumfów.

Autor posługuje się językiem klarownym, oszczędnym, a zarazem nasyconym wieloznacznością. W kilku wersach potrafi zbudować sytuację liryczną, która odsłania pęknięcie między tym, co deklarowane, a tym, co rzeczywiste. Ironia nie służy tu efektowi – jest narzędziem poznania. Dzięki niej poeta unika patosu, a jednocześnie nie wpada w banalność. To sztuka trudna: mówić lekko o sprawach ciężkich, nie upraszczając ich i nie spływając.

Szczególnie uderza umiejętność kondensacji. Każda fraszka – jeśli wolno tak nazwać te miniatury – ma wyraźny rytm, puentę, czasem zaskakującą, czasem gorzką. Decowski potrafi jednym skrótem myślowym wywrócić sens całego wiersza, pozostawiając czytelnika w stanie refleksyjnego zawieszenia. To poezja, która wymaga współuczestnictwa, dopowiedzenia, ciszy po ostatnim wersie.

„Fraszkoteka” jest także dialogiem z tradycją – z Kochanowskim, z liryką XX wieku, z doświadczeniem pokolenia, które dojrzało w cieniu historii. Jednak nie ma tu epigoństwa. Autor przetwarza odziedziczone formy na własny użytek, nadając im współczesny nerw i osobisty ton.

W efekcie otrzymujemy tom spójny, świadomy swego miejsca w literaturze, a zarazem wolny od literackiej pozy. Decowski pozostaje poetą skupionym, wiernym słowu i jego etycznemu ciężarowi. „Fraszkoteka” potwierdza, że subtelność nie jest słabością, a ironia – jeśli podszyta empatią – może stać się jedną z najczystszych form lirycznej prawdy. ♦

A. Decowski, *Fraszkoteka*, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2025

SKLEP TANECZNY BYDGOSZCZ



pon - pt: 12:00 - 18:00
sobota: 12:00 - 15:00
niedziela: 12:00 - 14:00

e-mail: xsusanx@wp.pl

telefon: 504 550 547

ul. Śniadeckich 47, Bydgoszcz

Ponad 10 lat z Wami!

Antologia „Akantu”

Ukazała się *Antologia „Akantu”* za lata 2018-2022. Zawiera ona spis autorów z tego okresu wraz z ich sylwetkami oraz fotografiami, a także – co jest ważne dla literaturoznawców – spis recenzji i opracowań twórczości. Antologię taką wydajemy co 5 lat, dzięki czemu bardzo łatwo można znaleźć poszukiwany utwór. Antologię można nabyć korespondencyjnie w redakcji „Akantu”.

Cena wraz z przesyłką: 35 zł
Nr konta: 03124011831111001002291025

Jerzy Stasiewicz

Wniknąć w lirykę SZWANKU

Od lipca odkładam na stolik-poczekalnię – w kątku pod oknem – dwustronicowy tom wierszy SZWANK MARKA S. PODBORSKIEGO. Nie, że cisną mnie terminowe roboty – choć tych akurat nie brakuje, zwłaszcza recenzje – tylko ciężar utworów mnie... przygniata. Intuicyjnie czuję co Marek Szypulski (1965, właściwe nazwisko), szefujący działowi poezji „Akan-tu”. Mając na co dzień do przejrzenia setki „wierszy” od grafomani po poezję bał się „wytworów” własnego pióra. Podobne rozterki przeżywała Wisława Szymborska w „Życiu Literackim”. Stąd dziesięciolecie borykanie się z materią zapisu/słowa, zmagania redakcyjne, zapędy złożenia książki. Może już... Może jeszcze poczekać. Poeta prawdziwy zawsze ma wątpliwości. Niewielu to rozumie.

SZWANK to **książka życia** mieszcząca bagaż wizji, snów, przeczuć i doświadczeń z całego dorosłego przeżycia poety z miasta kanałów uregulowanej rzeki. Choć Brda potrafi pokazać ukryte oblicze jak i podwójny nurt poezja Marka S. Mówię to na podstawie omawianej książki. Wcześniej niewiele znałem utworów bydgoskiego poety, tylko te drukowane w miesięczniku.

W mailu od autora dostałem wytyczne: „wskazane jest czytanie w kolejności od początku w kierunku zakończenia i niekoniecznie w całkowitej trzeźwości umysłu”. Wcześniej zaznaczył: „może da nowe impulsy do wnikania w lirykę? Jestem bardzo ciekawy spostrzeżeń w odbiorze, nie powiem o [książce] nic, niech się sama wyraża poprzez lirykę bez komentarza, życzę zdrowia (tu akurat było kruchoszcz się do zaleceń) i intrygującej lektury”. Tom podzielony na dziesięć rozdziałów plus epilog. Średnio rozdział rocznie, co dobrze świadczy o poszanowaniu słowa i szacunku/głodzie czytelnika.

By dobrze zrozumieć/czuć tytuł, sięgnąłem do *Małego słownika języka polskiego* PWN Warszawa 1974 (druk i oprawa w NRD – już widzę jak młodzi – nie tacy młodzi – grzebią w necie). Naukowe objaśnienie: „szwank – krzywdą, szkoda, ujma, uszczerbek: Wyjść z jakiejś przygody bez szwanku. Narazić się na szwank”. A „szwankować [można] na umyśle, na zdrowiu, być w złym stanie, mieć wady, braki”. - Tylko kto **to** zaakceptuje w świecie „medialnego uzupełniania rozumu”? A poeta potrafi przyznać się do wiedzy-niewiedzy, gdybań, przypuszczeń, rozterek w sposób sarkastyczny, prześmiewczy, zawołany ostrzem szpilki co krew wysie a otworu nie robi. Zachowując pozorną powagę i dystans do świata i siebie. Gdzie narratorem, kreatorem, uzurpatorem, semaforem jest to o „niewinności // bezwiednej / bezwiedzy”.

„W życiu chodzi o to, by być trochę niemożliwym” – stwierdza Oskar Wilde (1854-1900) – jakby mnie znał z sąsiedztwa,

a przecież urodziłem się sześćdziesiąt osiem lat po śmierci irlandzkiego pisarza i estety. Przeto bliscy mi są wszelacy abnegaci jak Tristan Tzara (1896-1963), Hans Arp (1886-1966), Max Ernst (1891-1976), Francis Picabia (1879-1953), operujący dowolnością, chaosem, absurdem, prowokacją, negujący zastane dziedzictwo kulturowe. Zarzewiem ruchu (dadaizm), ich twórczości w okopach I wojny światowej był bunt przeciwko jej bezsensowi i ustalonym normom społecznym. Ruch upadł pod koniec lat dwudziestych, jednak rzucone ziarno jako popłon zaowocowało w różnych częściach świata. W Polsce Pomarańczową Alternatywą, TotArt-em.

Popatrzmy na minioną dziesięćlatkę: z karykaturalną sceną polityczną, wyrugowaną kulturą, korporacyjnym społeczeństwem, pandemią, wojną w Ukrainie, uchodźcami wojennymi i ekonomicznymi, anomiami pogodowymi. A znajdziemy odpowiedź „upustu/westchnienia” poetyckiego Marka S. Podborskiego. Pełnego emocji, refleksji, spontaniczności. Z całą jego wolnością artystyczną – „Ach / ten przebiegły prarobak / zawłaszczyl ewolucję / i sens usankcjonował / konował” (...) „Taką mnie widzisz / jaką mnie myślą spowieść” – w wierszach wydawałoby się prostych na pierwszy ogień. Posiadających tyle odnog egzystencjonalnych, filozoficznych. Czerpiących z kultury łacińskiej, dzięki rozległej wiedzy autora i obcowaniu ze słowem poetyckim „I gdybyś się zapytał / dokąd to wszystko / skoro w noc powrócisz / bezbronny i nagi? // Jak chcesz obronić / swoje odrębności / raczej szalbierstwa / powikłane sagi? // To ty, to ja, to my / to oni, wysączą tren / w splakanych dłoniach // To świt, to męt, to nie / Dogoni falujących łanów / w oszalałych koniach”.

Falujące łany, oszalałe konie – wolność, bezkres, powrót do mitycznego dzieciństwa, kiedy poeta w krótkich spodenkach, wietnamskich trampkach maszerował miedzą ku widnokregowi. Po obu stronach kłaniały się kłosa żyta, owsa, jęczmienia. Makowa Panienska wabiła wzrokiem, zapachem, zapraszała na makowe pole częstując wywarem („kompo-tem”) – „Nabierano mnie ustami bezgłośnie / tak przy okazji w przelocie / jaskółek nad wieczorną / rzeką (...) Nabierano mnie kwiatem / wiatrem pochyłością drzewa”. - I pewnie przyszły poeta uległ pokusie? Niech podrapia się po łysinie ci co nie ulegli.

Stąd przejście do naszej (polskiej) ludowej baśniowości. Jak rodzimy rybałta/lirnik nie obce mu są postacie: boginek (piękne dziewczyny lub brzydkie baby z obwisłymi cynamami), osiadłe w jeziorach, rzekach, bagnach, lasach więc w okolicach Bydgoszczy. W nocnej zadumie często widywał je poeta piorące odzieniem nad wodą, używające piersi – zazdroścę widoku – jako kijanki. Nie wychylał głowy z gęstwiny bojąc się, że go porwą i przemienią w pokrakę; Zmory/nocnice (zmiennokształtne koty, kuny, słoma), zagnieżdżone w domostwach. Lubili

przysiąść na kłacie, przydusić, wysać krew, sparaliżować śpiącego. Ujeżdżały konie nawet narowiste/żwicznie „bo leśnie wlewała słów zrosty / do wrzółku kotła dosypując / pył z kwitnących drzew i kurz / z wietrzystych chmury przekłamaną / tym wiatrem”. Szamanka dopowiada: „burze i stygnące łany / roztrwaniały swe łęki / wróżbom służebne / (...) / w parzydłach / (...) / ciekłoskrzydłych pokłonów / (...) / I tak zbudziła się / matką / bluszczopalczałą bramą” – sowa. Przed, którą poeta – szerokiej wyobraźni – uszedł... w Noc Kupały, chwytając za rękę najpiękniejsze dziewczę. I przeskoczyli ogień, wymieniając się wiankami. Rano ujrzał zaoraną brudę...

Wzbudziło moją zazdrość, a i zjeżyło ostatnie siedem włosów na głowie słowotwórstwo – gratulacje Panie Marku – takie leśmianowskie tylko – brak mi słowa – o... o szerszym okręgu jak życiorys Bolesława. Niby Hrubieszów w świadomości, a był i Paryż, i Włochy i... kobiety. Przytoczę ostatnią/trzecią zwrotkę wiersza „Szadź”: „Nieobecny bezszelestny / lodowy bezsilny / nie do rzeczny łakochręstny / miło sny gość inny”. Inteligentny czytelnik dostrzeże/wyłapie nowe słowa. Z poszatowania istniejących uchwyci wielosensy wedle własnego intelektu i kreacji. Miernota wystraszy się tytułu! I mylnie jest mniemanie co autorowi tworzenie tych liryków przychodzi z łatwością. Nie ma tutaj prostoty i drogi na sage!

Dłatego nieprzypadkowa w zbiorze jest „Ballada o błędnym rycerzu”: - „co ciągle jutrem ludzi / Zwyczajnej w sklepach / loterii szaleńców // Czyż może tak zawsze / dokonać się chwila / Ostatnia i pierwsza / zarazem przewrotna” - ...daje do myślenia poeta?! Przypomnijmy kim był ów rycerz? – Don Kichota i giermka Sancho Panse znają wszyscy, powieść czytało niewiele. - To ubogi szlachcic hiszpański z osady Mancza. Po pięćdziesiątce... mówimy o wieku. Zagorzały czytelnik romansów rycerskich, które tak dalece zawładnęły jego wyobraźnią – urojenia – iż poczuł co sam jest błędnym rycerzem. Rychtuje leciwą, skorodowaną zbroję po przodkach, obiera godność Don Kichote i rusza na chudej szkapie zwanej Rosynantem naprawiać wszelakie krzywdy świata. Czynić dobro. Wyzwalać ciemionych i bić w boju ich prześladowców. Z imieniem Dulcynei z Toboso, damy serca na ustach. W międzyczasie pasowany na rycerza przez karczmarza. (W urojeniu karczmarza – zamkiem, właściciel – kasztelanem). Rycerska kampania, skutek błędnego oglądu świata, przysparza kłopotów nie tylko samemu „rycerzowi”, ale i „uciśnionym”. Nie pomaga zamurowanie izby wypełnionej po brzegi szkodliwymi księgami. Walczy z wiatrakami wyimaginowane olbrzymy, nie stroni od potyczek zbierając ciągi od przypadkowych zawadiaków i w obronie honoru Dulcynei. Nie słucha przyjaciół próbujących odwieść go od szaleństwa. Ciężko pobity i więziony w klatce sprawia wrażenie „całkiem zdrowego i w pełni rozumu”. Pozornie... choć wygłasza dorzeczną pochwałę życia, które jest zdążaniem do ideału. Znowu staje do pojedynku o sławę i piękność Dulcynei. Pokonany obiecuje zwycięzcy usatysfakcjonowanie

i powrót do rodzinnej wioski. Niebawem powala go śmiertelna choroba. W agonii wyznaje: „Wstrętne mi już dziś są wszystkie bezbożne historie błędnego rycerstwa; pojmuję niedorzeczność moją i niebezpieczeństwo, w jakie mnie ich lektura wpędziła”.

Chciałem tutaj na przykładzie Alonzo Quijany, tytułowej postaci z powieści Miguela de Cervantesa Saavedry, pokazać wartość mitu osobowego, personifikującego credo heroicznego marzycielstwa („praktycznych” nie dotyczy), wierności przyjętym zasadom i wrodzonemu sprzeciwianiu się złu, często w warunkach nie sprzyjających takiej postawie. W tym przypadku poety, który jak już wspominałem wcześniej poświęcił dekadę życia – wbrew wiatrom i codzienności – z tchnienia Najwyższego by dać ludziom w słowie wolność, wybór i dozę szlachetności. A efekt...: „Z czasem pojawi się demiurg / bóg – człowiek z wielkim przekopem / zagrzebie chitynowe miasta / zaleje wodą przestrzenie / rozsarpie ukryte gniazda / w korzeniach // I wsadzi świętą jabłoń / obsypaną trucizną wokół / i wkrótce wyrośnie wielki / przepiękny owoc krwi”. I kto doceni poświęcenie Podborskiego i wielu innych czcicieli Apollona? W czasach – naszych czasach – kiedy poeta jest zbędnym balastem, dziwakiem (jak Don Kichot), przeszkadzającym w zakupach, robieniu pieniędzy, grzebaniu w necie. Bo zmusza do refleksji!!! A komu to dziś potrzebne, gdy w telewizji emitują akurat „Hotel Paradise” czy „Love Island”. Ale warto pisać nawet dla jednego czytelnika. Pojedyncze ziarno rodzi kłos. Bo „nie ma nic słabszego na ziemi niż człowiek”. – Podpowiada Homer „krwawymi ust / strugami”.

Dopełnieniem (jądrem tomu) jest rozdział – tak mi się wydaje – „Dzień Hioba”, w którym poeta, powiedzmy ja lirycznie wyznaje: „sam już jestem pomiotem / wszelkich gwiazd szklawionych”. Utożsamiając się jako twórca z bohaterem starotestamentowej Księgi. Będąc pionkiem w dłoniach Opatrzności, uczciwym i do granic szczerym w słowie pisanym, zostaje wystawiony na próbę wierności poezji czystej, albo porzucenia jej dla „tekstów łatwych”, lecz przynoszących poklask i profity. Pamiętajmy, szatan miernoty wзира z każdego długopisu. Kwartalnik czeka na materiał, naczelny/hetera pogania. Wytrwać nie jest łatwo. Lata mijają. Pojawia się dziwne wyznanie: „Zupełnie przestałem chcieć / a chór nade mną / ciągle zawodzi // Chcą mnie / z leża zwlec – podstępem / lecz wiem / o co chodzi”. Świadectwem wyboru Marka S. Podborskiego jest tom *SZWANK!* A co z zadoścuczynieniem, o którym wspomina Święta Księga?

Książkę z tak szeroką paletą tematyczną: dadaizm, baśniowość, liryczność, satyra, ze szpadą lingwistyki, zalecałbym jako obowiązkową wszelakim „poetom niedzielnym”. Rymopisom trzeciego wieku, sto wersów na godzinę. Może zrozumieliby, że każda zmarnowana kartka papieru to uśmiercone drzewo i cios w płuca Matki Ziemi. Warto przemyśleć. ♦

Mark S. Podborski *SZWANK, Magneta s.c., s. 206. Bydgoszcz 2025*

Maria Balcer

„Poezja mądrości dębu i piękności róży”



Na życie, śmierć i miłość nie ma dobrej ani złego czasu – przychodzą niezależnie od naszej woli. To, co ponadczasowe, może zdarzyć się w najbardziej nieoczekiwanych okolicznościach; człowiek rodzi się lub przyjmuje dar życia nawet w sytuacjach życia najmniej przyjaznych, umiera, kiedy zdaje się być od śmierci jak najdalej. Miłość przychodzi nawet wtedy, kiedy wydaje się być najbardziej nieprawdopodobna, rozkwita w czasie pełnym nienawiści, nie zważa na otoczenie, warunki życia, różnicę wieku czy odległość. „Lecą lata, mijają stulecia/życia przekwitają, toczy się wojna/ na wiosnę i w porze pełnokwiecia/ dla Niego wciąż liczy się tylko Ona”.

Ową ponadczasowość i bezwarunkowość miłości łatwo uświadomić sobie, oddając się lekturze książki poetyckiej dwojga autorów: **STEFANA PASTUSZEWSKIEGO** i **NATALIJI HORISZNEJ**, zatytułowanej *Pieśni Petrarki. Listy Laury nienapisane*. Książka to niezwykła, w niezwykłym czasie powstała; książka dwujęzyczna, polsko-ukraińska, napisana przez dwoje, nawzajem tłumaczących swoje wiersze, poetów. „Kiedy już wszystko nie ma swoich granic/ potrzeba rytmu skrzydeł, zna go serce”.

Odwieczność miłości i tęsknoty doskonale potwierdza zastosowane przez autorów nawiązanie do poezji czternastowiecznego mistrza sonetu, jakim był Francesco Petrarca. Kosztowny klejnot potrzebuje godnej oprawy, zatem liryka miłosna, nawet współcześnie (!) zasługuje na królewską formę – jak niekiedy określa się sonet. Historię sonetu i najznamienszych spośród uprawiających tę formę poetycką twórców, dawnych i obecnych, przedstawiają w posłowie: Stanisław Chczyński, Oleksandr Gordon i Dariusz Malach.

Ci, którzy znają liryczną opowieść Petrarki zawartą w jego *Sonetach do Laury* (*Canzoniere*), zapewne chętnie poddadzą się „poetyckiej grze” Pastuszeńskiego i Horisznej, mimowolnie szukać będą podobieństw i łatwo zauważą różnice. Tym, którzy sonetów Petrarki nie pamiętają, pomoże tekst Dariusza Malacha. Przywołanie postaci Petrarki i Laury, poprzez zastosowanie tytułów kolejnych sonetów Stefana Pastuszeńskiego zaczerpniętych z wierszy samego czternastowiecznego mistrza (we włoskim oryginale), to pomysł niebanalny i przenoszący czytelnika w świat kreacji poetyckiej, godnej największych mistrzów. I mimo, iż miłość to inna od tej, o której pisał poeta z Arezzo, łatwo nam uwierzyć, iż dzieje się w czasie mniemanym, trzecim kosmosie, zbudowanym z pragnień i tęsknot. Jest wyzwoleniem i uwzniośleniem – „Miłość wciąż gna mnie, a dobro prowadzi (...) wleciałem w górę, odrzuciłem stery”. Stan ten, według poety, powinien być wieczny – „niech kołowrotek czasu nieć twą przędzie/niech ojciec dzieciom bajkę tę powtórzy/i tak przez wieki jako echo przejdiesz”.

Pieśni Petrarki bydgoskiego poety to przykład liryki miłosnej subtelnie połą-

czonej z liryką religijną, nie będącą w tym zestawieniu bluźnierczą, a skłaniającą do refleksji. „Ten trzeci kosmos z pragnień, wiary, woli/ będzie nagrodą dla tych, co kochają/ Bóg, co miłością, tam nam żyć pozwoli”. To prawdziwa „mądrość w sonecie ukryta”. Wie o tym doskonale także Laura, w imieniu której Natalija Horiszna wyznaje: „Idziemy wciąż po dawnych śladach/ serce kobiety pełne mądrości”.

Listy Laury nienapisane ukraińskiej poetki jawią się jak plastyczna próba opisu uczuć, których opisać się nie da – „bezustannych pocałunków i niemych dialogów/ nie dane poznać ludziom, to przywilej bogów”. Są, co oczywiste, odmienne od wersów pisanych przez mężczyznę w imieniu zakochanego mężczyzny. Listy Laury, po kobiecemu pełne tęsknoty, pełne żaru, zdradzają przywiązanie do natury i odwiecznych jej praw.

„Ogień, którego nie może nic stłumić/ i nie pomieści się w żadnym rozumie/ płonie na stypach, płonie na weselach// płonie on we mnie i płonie w mych wierszach”.

Lektura książki poetyckiej Nataliji Horisznej i Stefana Pastuszeńskiego to dotknięcie poezji szlachetnej, przywołującej twórców znanych i uznanych. To prawdziwa „poezja mądrości dębu i piękności róży”, taka, którą dobrze się czyta i której dobrze się słucha, a nade wszystko chce się do niej wracać, bo przecież – choć czas zmienia człowieka, nie zabiera jego tęsknoty za miłością. ♦

Stefan Pastuszeński, *Pieśni Petrarki, Natalija Horiszna, Listy Laury nienapisane, Instytut Wydawniczy Świadektwo, Bydgoszcz 2025*

XXII OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI

„PREZENTACJE EKOLOGICZNE BARCIN 2026”

Stowarzyszenie Ekologiczne w Barcinie do udziału w konkursie zaprasza twórców bez ograniczenia wieku, którzy w swoich utworach ukazują życie w harmonii z przyrodą i piękno ziemi ojczystej. Kształtują wrażliwość na dobro oraz propagują potrzebę ochrony środowiska.

Prace konkursowe liczące trzy niepublikowane i nienagradzane w konkursach utwory poetyckie, opatrzone godłem, należy przesłać w dwóch egzemplarzach do siedziby Stowarzyszenia Ekologicznego w Barcinie na adres: **Janina Drażek, ul. Pakoska 16, 88-190 Barcin**.

Do zestawu utworów należy dołączyć opatrzoną tym samym godłem zamkniętą kopertę zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres oraz numer telefonu. Młodzi twórcy do 18 roku życia obok godła podają wiek.

Termin nadesłania prac konkursowych upływa z dniem **15 kwietnia 2026 r.**

Między szaleństwem a odpowiedzialnością

Powieść „Spoina” autorstwa **IRMINY KOSMALI** to utwór, który, zgodnie z tytułową metaforą, próbuje zespoić to, co w historii i w jednostkowej egzystencji zostało brutalnie rozerwane. Z jednej strony mamy tu dramat osobistej dezintegracji, rozpisany na dialog z psychiatrą i z własnym sobą, z drugiej traumę zbiorową: akcję T4, zagładę pacjentów „Dziekanki” w Gnieźnie, systematyczne unicestwienie „niegodnych życia”. Powieść operuje podwójną perspektywą: intymną i historyczną, psychologiczną i metafizyczną. Jej ambicją nie jest rekonstrukcja faktów, choć te są obecne i istotne, lecz rekonstrukcja sensu.

Gnieźnieński szpital psychiatryczny (realnie istniejąca „Dziekanka”) zostaje w powieści przekształcony w przestrzeń liminalną: między rozumem a obłędem, pamięcią a wyparciem, winą a próbą zadośćuczynienia. Nieprzypadkowo patronem duchowym tej narracji staje się Viktor Frankl, którego nazwisko pojawia się wśród postaci historycznych. Franklowskie pytanie o sens cierpienia i o możliwość ocalenia godności w sytuacji granicznej stanowi milczące tło dla losów Andrzeja, intelektualisty, autora „Ostrogi Nietzschemu”, człowieka rozdartego między pychę rozumu a rozpadem tożsamości. W tym sensie „Spoina” wchodzi w dialog z tradycją literatury egzystencjalnej i postobozowej. Jej bohater nie jest jednak ofiarą totalitaryzmu wprost, jest raczej ofiarą własnej świadomości, nadmiernej autorefleksji, intelektualnej hiperracjonalizacji życia. Kosmala pokazuje, że choroba psychiczna nie

jest tu wyłącznie kategorią kliniczną, lecz figurą rozpadu sensu.

Centralną osią filozoficzną powieści jest dialog z Friedrich Nietzsche. Bohater, ironicznie tytułowany „profesorem Nietzschem”, balansuje na granicy utożsamienia z filozofem i demaskacji tej projekcji. Wątek syfilisu, utraty zmysłów, rozpadu geniuszu przywołuje klasyczny mit „szaleństwa filozofa”, ale Kosmala nie poprzestaje na biograficznej anegdocie. Wieczny powrót zostaje tu przepisany jako trauma powracającej pamięci, także tej historycznej. I tu pojawia się kontekst akcji T4: nazistowskiego programu eksterminacji osób chorych psychicznie i niepełnosprawnych. W powieści ten wątek, dedykowany pamięci badacza losów pacjentów „Dziekanki”, nie jest tylko historycznym tłem. Jest memento: przypomnieniem, że nowoczesność, z jej wiarą w racjonalizację, selekcję i „ulepszanie” człowieka, może stać się narzędziem zbrodni. W tym miejscu „Spoina” spotyka się z intuicjami Stanisław Lem. Lem w „Szpitalu Przemienienia” (1955) pytał o granice poznania i o niebezpieczeństwo technokratycznej pychy. Kosmala pokazuje analogiczne zagrożenie w wymiarze antropologicznym: gdy człowiek staje się projektem do poprawy, „materiałem biologicznym”, wówczas znika dialog, a pojawia się selekcja. T4 było właśnie tego skutkiem, gdy wartość życia mierzyło się użytecznością.

Filozoficznie najciekawszym podtekstem „Spoiny” jest jednak echo myśli Martina Buber. Relacja Andrzeja z Ewą, niespełniona, toksyczna, podszyta manipulacją (manuskrypt jako prowokacja, motyw reinterpretowany z przedostatniej powieści Kosmali „Krótka historia nikczemności”), jest dramatem niemożności prawdziwego spotkania. Bohater traktuje Ewę jako projekt do ocalenia, jako „problem do rozwiązania”, nie jako autonomiczne „Ty”. Buberowskie rozróżnienie między relacją Ja–Ty a Ja–To odsłania tu twórczą aktualność. W świecie T4 człowiek został zredukowany do „To”, do przypadku medycznego, do obciążenia dla wspólnoty. W życiu prywatnym Andrzeja Ewa również staje się „To”: nośnikiem jego lęku przed utratą sensu. „Spoina” sugeruje, że totalitaryzm zaczyna się od drobnych aktów uprzedmiotowienia.

Kosmala ciekawie czyta współczesną psychoterapię jako scenę egzystencjalną. W jej interpretacji dialogi z psychiatrą przywodzą na myśl twórczość Irvina D. Yaloma. Podobnie jak u Yaloma, terapia nie jest tu techniką, lecz wspólnym poszukiwaniem sensu. Lekarz nie występuje jako wszechwiedzący demiurg, raczej jako świadek i towarzysz w drodze ku prawdzie. Pojawia się motyw wyparcia, powrotu pamięci, rekonstrukcji tożsamości, wszystko to wpisane w dramat „kim jestem?”. Jednocześnie Kosmala unika dydaktyzmu. Psychiatra bywa niepewny, chwilami zagubiony, role się zaciera. Pacjent potrafi intelektualnie zdominować rozmówcę. To nie jest klasyczna narracja o „leczeniu”, lecz o napięciu między wiedzą a bezradnością.

W warstwie dotyczącej T4 i pamięci o ofiarach „Dziekanki” powieść zbliża się do wrażliwości Hanny Krall. Tak jak u Krall, najważniejsze nie są wielkie narracje historyczne,

lecz drobne gesty, milczenia, „to, co ulotne”. Kosmala podejmuje tę literacką wrażliwość, nawet w przedmowie pisze, że prawdziwego człowieka odnajdujemy w spojrzeniu i w ciszy. To zdanie mogłoby stać się mottem całej książki. Gnieźnieńska pisarka nie rekonstruuje zbrodni w sposób naturalistyczny. Raczej odsłania jej ontologiczny wymiar: zbrodnia zaczyna się tam, gdzie ktoś uznaje, że drugi nie zasługuje na dialog. W tym sensie „Spoina” jest powieścią o etyce, dlatego język powieści musiał przybrać postać intensywną, nasyconą metaforą i, szczególnie w początkowych rozdziałach, wykorzystać humor sytuacyjny (np. chwilowa ucieczka pacjentów ze szpitala psychiatrycznego). Momentami dialogi bohaterów przypominają pojedynki intelektualne, narracja pierwszoosobowa przechodzi w trzecioosobową, jakby tożsamość głównego bohatera ulegała rozszczepieniu. Ten zabieg formalny, ryzykowny, ale konsekwentny, wzmacnia temat pęknięcia.

Bez wątpliwości „Spoina” to powieść ambitna, filozoficznie gęsta, wymagająca uważnego czytelnika. Jej siła polega na tym, że nie daje łatwego ukojenia. Próbuje zespoić pamięć z teraźniejszością, winę z wybaczeniem, jednostkowy dramat z historią zbiorową. I nie obiecuje, że spoina będzie niewidoczna. Przeciwnie: bliźna pozostaje. W epoce, w której dyskurs o zdrowiu psychicznym bywa banalizowany, a historia redukowana do medialnych skrótów, powieść Kosmali przypomina, że zarówno obłęd, jak i zbrodnia rodzą się z kryzysu relacji. Jeśli nie potrafimy powiedzieć „Ty” drugiemu człowiekowi, pozostaje tylko „To”, a stąd już krok do selekcji, wykluczenia, unicestwienia. „Spoina” jest więc nie tylko opowieścią o szpitalu psychiatrycznym w Gnieźnie. Jest filozoficznym traktatem o odpowiedzialności za słowo, za pamięć i za drugiego człowieka.

(„Spoina”, Wydawnictwo Zeszyty Poetyckie, Seria Biblioteka Współczesnej Prozy, Gnieźno 2026)

Renata Adamska-Garbowska

w niewidzeniu

znam to spojrzenie
pełne wyrzutu
między jednym
a drugim okiem

skupiam się na miejscach
pośrodku niczego
gubię istotę
na rzecz bezistnienia

widzę je czasem
w lustrzanym odbiciu

krzyczą krzyże i podkrzyża
naszych niegodziwości

uderzają w rytmie tętna
w to co jeszcze w nas
z prawdy

jeszcze tylko włóczęgą
w serce

Zakład Optyczny



**AUTORYZOWANA
PRACOWNIA OPTYCZNA
ZAPRASZA**

**Pn. - pt. 10:00 - 18:00
Sob. 10:00 - 13:00**

**D.H. HERMES
ul. Wojska Polskiego 23
52 361 96 46**

**GABINET OKULISTYCZNY
Pn., śr., czw., pt. od 16:00**

**ul. Niedźwiedzia 7
52 322 47 47**

**GABINET OKULISTYCZNY
Pn., wt., od 16:00; pt. od 14:30**

Dariusz Malach

Zajmująca proza

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem *Przypadki księdza Henryka* STEFANA PASTUSZEWSKIEGO.

Zajmująca proza, „prosty”, czasem dosadny język, bez niepotrzebnych zawijasów słownych i rozwlekłych opisów. Wartka narracja, podszyta tu i ówdzie sarkazmem, ironią i zjadliwym humorem, fabuła z elementami mocnego zaskoczenia (Terapeutka, Monika). Celne, oszczędne portrety psychologiczne postaci drugoplanowych i niezwykle udane charakterystyki psychologiczno-socjologiczne zbiorowości, takich jak grupy kleru, struktury parafialne, „dziobaki”, dziennikarze, polityczni cwaniacy – hieny lansujące się w mediach, wierni idący śladem za głosem propagandy etc. Rzetelnie, wiarygodnie nakreślona sylwetka głównego bohatera z bolesnym i przekonującym opisem jego żenującej starości, obciążonej fizycznym, psychicznym, a nade wszystko „zawodowym”, kapłańskim balastem, mieszanym z kryminalną przeszłością. Świetne, jak w pigułce obserwacje życia i obyczajów (np. „ja tu – ty tam” w związkach starszych osób, czy „dwa metry za rodzicami” jak bywało niegdyś w tzw. tradycyjnych rodzinach). Dobra znajomość stosunków i zależności w kościele katolickim. Akurat wiem coś o tym, ponieważ przez ponad pięć lat za komuny pracowałem jako bibliotekarz w Prymasowskim Wyższym Seminarium Duchownym w Gnieźnie. W ramach ratowania tyłka, gdy miałem zakaz powrotu do oświaty. Napatrzyłem się tam na różne rzeczy i potrafię docenić znajomość tych realiów.

Przypadki księdza Henryka to trafny, choć smutny obraz stanu kapłańskiego w jego różnych odsłonach oraz relacji panujących w tym środowisku. Bolesna diagnoza postępującej deprecjacji Kościoła w obliczu sekularyzacji społeczeństwa. To dobra książka. Ma jeszcze wiele innych zalet, oprócz tych przeze mnie już wymienionych, np.:

– udana indywidualizacja zachowań, a zwłaszcza języka bohaterów, jak u biskupa Brunona *Nie Powiem*;

– różne konstatacje, trafne uwagi, ciekawe stwierdzenia („Po co zdrowie u starego człowieka”, „trumna nie ma kieszeni”, „czas w młodości jest otwarty”, „konfesjonał – szambo ludzkiej natury” i wiele innych);

– powtórzenia całych sekwencji słów w następnych rozdziałach jako nawiązanie do treści rozdziałów poprzednich. No i ten świetny stosik książek pod nogą fotela!!!;

– nawiązania do poezji (Grochowiak, Wojacek, Tetmajer)...

To tylko niektóre z ważnych elementów składowych tej minipowieści (bo mimo zderzenia z terapeutką nowela to nie jest, podobnie jak nie jest to opowiadanie). Czy są w niej w takim razie jakieś wady czy braki? Nie ma na tym świecie rzeczy idealnej, ale ja tu większych braków czy wad nie widzę, a jeśli nawet jakieś na upartego dalaoby się namierzyć, to są one przyćmione zaletami. Może czasami odczuć można delikatny zapach mizoginizmu, ale to nie żadna wada. Z tymi babami to już tak jest.

Stefan Pastuszewski

Broszura

Broszurka jak za dawnych, dobrych czasów. Jakieś wydarzenie jakaś sprawa i drukarnia w ruch. Kilka, kilkanaście stron słownej reakcji na wydarzenie, a potem na ulicę – za kilka groszy ulicznicy rozdadzą przechodniom, a jeśli treść będzie skandaliczna, to szur-szur po salonach i biurach. *Czytałeś pan?*

Człowiek zawsze będzie tak reagował na to, co się wokół niego dzieje. Chce się wypowiadać, chce podzielić się swoimi refleksjami, a przy okazji także się popisać. Dziś do tego służy wysypisko internetowe, wirtualne hyde parki różnych marek i interesów. Pławi się nie ulicznikiem i to często wprost, choćby świadomościowym zniewoleniem, pozytywną, choć często mimowolną reakcją na reklamę. Jest się wszędzie i nigdzie.

JULIUSZ GAŁKOWSKI z Kielc nie chce być jednak aż tak anonimowy i rozmyty. Wydał własnym sumptem, choć z podpisem „Pewne Wydawnictwo” broszurę *Sonety Leoniańskie*. Poruszyło go konklawe, które dziś mało kogo porusza, bo jest jednym z milionów biegających po tym *wszędzie i nigdzie* wydarzeń, począwszy od karambolu na A-25 a skończywszy, nie skończywszy, bo tu się nic nie kończy na...

W każdym razie J. Gałkowski wziął na pióro wybór papieża Leona XIV i napisał 10 sonetów i quasi-sonetów. Wydaje mi się, że tylko szukał pretekstu do kolejnej przygody ze średniówkami i rymami oraz tego napięcia, które rodzi się ze stawiania na papierze podniosłych słów, bo to przecież *Papież z królewskim imieniem zasiadający na Piotrowym tronie*. Temat? Leon XIV to jeszcze nikt z wyjątkiem mało interesujących przygód prezbiterkich, biskupich i kardynałskich, więc autor utworów zawartych w 20-stronicowej broszurze z dostojną purpurową obwolutą i jakby złotym tłoczonym tytułem pobiegł myślą w przeszłość Rzymu, montując, bo te utwory to niemal inżynierskie konstrukcje na takie tematy jak: *Fresk Rafaela*, *Due Potestates*, *Medyceusz*, *Quo Gravz'ara*, *Święty Grzegorz*.

Z wyjątkiem uniesień pisarsko-muzycznych, jakie towarzyszą każdemu uprawiającemu poezję sylabotoniczną oraz podniosłości papiesko-eklezyjalnej nie dopatrzyłem się w tym zbiorze innych wartości. Drażni takie sztukowanie rymu jak w trójwersie:

*Powróćcie do pana mistrzowie budowy!
On był nam wzorem, kładąc fundamenty
z ludzkich kamieni pięknie kwadratowych.*

Ani *Biblia* ani apokryfy nie wspominają o *kamieniach pięknie kwadratowych*. Nawet jeśli dusze ludzkie są kanciaste to trudno porównać je do kwadratów.

Drugim problemem jest rozpoznanie tej broszury. Dziś żaden ulicznik za bułkę z masłem zadania tego się nie podejmie.

Juliusz Gałkowski, *Sonety Leoniańskie*, Kielce 2025, *Pewne Wydawnictwo*, ss. 20.



Prosimy pisarzy o ich książki!

Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby **podarować książki Klubom Polskiej Książki**, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie. KPK szczególnie interesują się literaturą współczesną, skupiając jej gorliwych czytelników.

- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Waław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krosnice, woj. dolnośląskie, tel. (071) 3845551
- KPK-Podbrodzie, Pabrade Internatienia Mokykla, 4710 Pabrades, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK – Landwarów, Henriko Senkevičiaus Vidussmokykla, 4200 Lentvaris, Lauko gatve 20, tel. 828218905, Litwa-Lietuva
- KPK-Wielony, Felicia Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Rezeknes rajon, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latvija
- KPK – Malta, Jadwiga Okuniewicz, LV 4630 Malta, Rezeknes rajon, Javnatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latvija
- KPK – Rzeżycza, Rezeknes Polu Vidusskola, Lubanas iela 49, LV 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latvija
- KPK, Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci i Młodzieży Słabowidzącej i Niewidomej im. Louisa Braille'a, 85-008 Bydgoszcz, ul. Krasieńskiego 10, tel. (052) 322 17 87
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnova” 85-806 Bydgoszcz-Kapusińska, ul. Planu 6-letniego 38, tel. (052) 3631867, drugi czwartek godz. 17.00
- KPK, Zespół Szkół im. Łangego, 78-425 Biały Bór, ul. Brzeźnicka 10, woj. zachodniopomorskie, tel. (094) 3739019, (094) 3739757, 0696469781
- KPK, Żyrardowskie Wieczory Literackie MDK, 96-300 Żyrardów, Pl. Jana Pawła II/3, każdy poniedziałek (z wyjątkiem świąt) godz. 16.00
- KPK, Zespół Szkół Chemicznych i XIV LO, ul. Łukasiewicza 3, 85-821 Bydgoszcz, tel. (052) 3611008
- KPK-Lubostroń, Zespół Pałacowo-Parkowy, pow. Żnin, gm. 89-210 Łabiszyn, tel. (052) 52384623, 0605097743
- KPK-Szkola Podstawowa nr 38, 85-858 Bydgoszcz, ul. Węgierska 11, tel. (052) 3621060
- KPK 89-530 Śliwice, Ewa Żarska tel. (052) 3368331, 0511866335, Śliwiczki 62
- KPK Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 2 85-791 Bydgoszcz, ul. Akademicka 3
- KPK Pensjonat „Salamandra” 84-104 Jastrzębia Góra, ul. Nasza 2, woj. pomorskie
- KPK Siergiej Finow 24 7760 Mozyrz ul. Pierszamajskaja 18/46, Białoruś
- KPK Witalis Myszona 24 7841 Łelczyce ul. Ostrowskiego 31A, Białoruś
- KPK, Zespół Szkół Pryznerskich 85-209 Bydgoszcz, ul. Nakielska 11
- KPK, Zespół Szkół Spożywczych 85-844 Bydgoszcz, ul. Toruńska 174
- KPK, Okręgowy Klub Aktywności Twórczej PZN 85-090 Bydgoszcz ul. Powstańców Wielkopolskich 33
- KPK, Gimnazjum Kolumba Bydgoszcz ul. Świętej Trójcy 9
- KPK, 88-190 Barcin ul. Dworcowa 10 Restauracja „Lutizjana”
- KPK – Birmingham Polish Millennium House Bordessey Street, B5 5 PF Birmingham England tel. +44 121 64 33 577
- KPK Klubokawiarnia, 89-421 Sośno, ul. Młyńska 1 tel. 787525190, e-mail: jus.ryc@wp.pl Prowadzący: Justyna Rychlik

Maria Balcer ● Sławomir Bączkowski ● Marek Bocian ● Grzegorz Borowiec
Małgorzata Borzeszkowska-Bojke ● Norbert Budzyński ● Dorota Czerwińska
Czesław Dawidowicz ● Stanisław Dłuski ● Robert Drobysz ● Dariusz Filinger ● Anna Fojtel
Jakub Fornagiel ● Rafał Gawron ● Stanisław Gębala ● Krzysztof Gołębiewski ● Jerzy Grupiński
Jarosław Stanisław Jackiewicz ● Jacek Jaszczyk ● Przemysław Kantorski ● Krzysztof T. Konecki
Wojciech Kowalczyk ● Paweł Rafał Kuś ● Bogdan Łoś ● Adam Michalak ● Małgorzata Mittelstadt
Stefan Pastuszewski ● Patrycja Maciejewska ● Anna Makselon ● Dariusz Malach
Piotr Nessel Paton ● Marian Pajdak ● Jakub Michał Pawłowski ● Michał Piechutowski
Miron Piwnik ● Marek S. Podborski ● Maciej Porzycki ● Juliusz Rafeld ● Alina Rzepecka
Jerzy Sałata ● Jerzy Stasiewicz ● Hanna Strychalska ● Wojciech Trzcinski ● Juliusz Wątroba
Iwona Orzechowska Wiater ● Joanna Wicherkiewicz ● Aleksandra Więcek
Grzegorz Zientecki ● Mateusz Zimny ● Cezary Żarna ● Stefan Michał Żarów

W wielkanocny poranek
nadziei na lepszy świat
życzy Czytelnikom i Autorom
Redakcja „Akantu”



Fundatorzy Akantu

Marek Bocian	Magdalena Kalinowska	Magdalena Pełczyńska
Andrzej Bogucki	Wojciech Karpiński	Magdalena Podobińska
Adam Decowski	Paweł Kuszczynski	Danuta Anna Rychlicka
Zygmunt Dekiert	Maria Kołodziej	Roman Rzucidło
Piotr Dmochowski	Krzysztof Konecki	Piotr Szczepański
Leszek Droszcz	Bartosz Konopnicki	Andrzej Sepioł
Jakub Stanisław Domoradzki	Tomasz Kościukiewicz	Anna Skrzypek
Mateusz Dworek	Bogdan Kozłowski	Janina Sokołowska
Hanna Dyks	Piotr Łączyński	Jerzy Stasiewicz
Lucja Anna Fice	Piotr Aleksander Łączyński	Lech Jerzy Stefaniak
Szymon Florczyk	Magdalena Łubkowska	Krzysztof Stępień
Andrzej Gierch	Sławomira Barbara Marczyńska	Jolanta Szejka
Natalia Grudzieli	Kacper Mironiuk	Marek Szulakiewicz
Jerzy Cyryl Grupiński	Maria Nowakowska	Elżbieta Vetter
Krzysztof Gołębiewski	Jerzy Nowotczyński	Krystyna Wojciech-Ratajczak
Eleonora Górka	Sławomir Olesiak	Henryk Tokarz
Michał i Zofia Hawełko	Jan Organ	Paweł Wacek
Katarzyna Grażyna Jeziółkowska	Barbara Orlikowska	Iwona Orzechowska-Wiater
Ryszard Jacek Juszczyk	Teresa i Bronisław Pastuszewscy	Tomasz Witkowski
		Joanna Zientecka



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury*



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelna
 Stefan Pastuszewski – wydawca, sekretarz redakcji
 Roman Sidorkiewicz – redaktor
 Marek S. Podborski – redaktor działu poezji
 Juliusz Rafeld – kierownik działu imprez
 Malwina Witucka-Krygier – redaktor techniczny
 Wojciech Hetman – redaktor wydania internetowego
 Sławomir Krzyska – redaktor
 Aleksandra Lewek – redaktor

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych

Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1
 85-010 Bydgoszcz, tel./fax 052/321 33 71
 ✉ e-mail: akant24@wp.pl
 www.akant.org

Konto:
 Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
 Bank PEKAO SA I Oddział Bydgoszcz
 03 1240 1183 1111 0010 0229 1025
 Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
 85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

RADA REDAKCYJNA:

Rafał Berger, Marek Pietrzak - przewodniczący,
 Wojciech Reszka, Tadeusz Pikul

Nakład 2 000 egz.



9 771429 905009 04